

PISARZE POLSCY

KRESOM ZACHODNIM

NAKL. ZWIĄZ. OBR. KR. ZACH.

Głos książki — do czytelnika.

Pamiętaj!

Tysiące lat ludzkość czekała zanim wynaleziono papier, czcionkę i druk. Jestem dumą cywilizacji. Szanuj mnie!

Nie dotykaj mnie nieczystymi rękami — będzie mi wstyd, że jestem brudna.

Nie pozostawiaj mnie na deszczu lub w miejscu wilgotnym — mogę się przeziębic.

Nie podkreślaj wyrazów na moich stronicach i nie pisz uwag — bo to brzydko.

Nie zaginaj rogów kart i nie uciskaj mnie łokciami podczas czytania — bo czuję ból.

Nie wkładaj między stronice ołówka, bo rozewiesz mój grzbiet. Miejsce czytane załóż dla pamięci cienkim kawałkiem papieru. Kulturalni ludzie sporządzają czasem pięknie rysowane lub haftowane zakładki, które nam, książkom, bardzo się podobają.

Nie wrywaj moich kart — będę kaleką.

Nie czytaj mnie podczas jedzenia, nie stawiaj na okładzinach szklanki ani talerza — bo mnie poplamisz.

Może kiedyś zechcesz spotkać się ze mną powtórnie, a wówczas będzie ci przykro gdy zobaczysz mnie starą, zniszczoną i porozrywaną.

Staraj się abym pozostała jaknajdłużej świeża i czysta, a ja przyczynię się do twojego szczęścia. Jestem twoim najwierniejszym przyjacielem — ufaj mi.

Po przeczytaniu zanotuj sobie moją treść — pamięć Twoja jest zawodna.

Nie zapomnij wreszcie, że przed upływem miesiąca muszę wrócić do biblioteki, gdzie czekają na mnie inni czytelnicy.

Nie zgub mnie i nie sprzedawaj, bo to nieuczciwie. Należę do bibliotek miejskich, które się utrzymują z podatków całego społeczeństwa.

NABYTE 2/XII 25r.

z wydziału Kultury
i Oświaty Powiatowej

dla II Miejskiej wypożyczalni

nr 2130



Dar

dla II Miejskiej Wypożyczalni
Książek dla Dzieci i Młodzieży

Nr dn. 19.....

PISARZE POLSCY
KRESOM WYCHODNIM



Skład książki niniejszej rozpoczęto dnia 27 listopada r. 1924. Druk 5.000 egzemplarzy ukończono dnia 4 grudnia tegoż roku. Całość roboty wykonano w Tłoczni T-wa Straży Kresowej, Warszawa, Jasna Nr. 8.



W-273/84

Stefan Żeromski.



Port w Gdyni.

Port w Gdyni jest jednym z najżywoźniejszych przedsięwzięć nowoczesnej Polski, a jego budowa pierwszorzędną jej potrzebą. Są to drzwi do świata, a zarazem ostatnia twierdza obronna od zagłady dla Kaszubów, Mazurów Pruskich, Kabatków, Kociewiaków, Warmiaków. Jeżeli to dzieło nie będzie szybko, pilnie i doskonale wykonane, zatrząsną się przed naszą całością i przed naszą przyszłą potęgą te drzwi przednie, a zakrańcom naszym wydarty zostanie główny i ostatni zamek obronny. Lud kaszubski, cofający się krok za krokiem, pięćdziesiąt lat za pięćdziesiąt, stulecie za stuleciem przed niemiecką nawałą, w ostatniej swojej grupie, którą los oddał nam w ręce, jeszcze nie zgryzioną i jeszcze nie dającą się pożreć, a powierzył na przechowanie i wychowanie, — zapadnie w otchłań niemiecką. Będą obumierały w naszych zimnych oczach, będą schły i w obcy pień szły bezcennymi sokami gałęzie naszego narodu na Warmii i Mazurach, — spadną i wdeptane zostaną w obcą ziemię ostatnie liście słowińskiego drzewa

ponad Łebskiem jeziorem. Nie tylko obnaży się przed światem nędzna słabość nasza, niechęć do obronnego dzieła, tchórzostwo i lenistwo w sprawie dźwigania plemiennej wielkości, lecz nadto padnie w te żywe jeszcze odnogi, wici i pędy — zaraza naszej niemocy i śmiertelny lęk przed wrogiem.

Odwieczny nasz błąd: zwracanie się twarzą, piersiami, nateżeniem pasyi i wszystkich sił do walki i zmagania się jedynie ze wschodem, znowu toczy nasz organizm i nasze jestestwo. Wolimy nie tylko w czynie, lecz także w bezsilnych sądach i doraźnych chceniach leżać poprzez błota białoruskie ku starym dzikim polom, ażeby tam w spotkaniu z odwiecznym antagonistą, z rozpasanym nomadą, topić siły w błotach i rozpraszać je po obcym polu, zamiast zwodzić dzieło obronne, świetne, dostojne i nieśmiertelnie wzniosłe.

Conajmniej połowa naszego narodu nic wciąż nie chce wiedzieć o tej fórcie do morza, o porcie w Gdyni. Jeszcze cała masa ciemiegów nie odetchnęła ni razu powietrzem potęgi, które się unosi nad morzem. Nieliczni jedynie, rozumiejący znaczenie tego portu, pracują nad jego otwarciem. Pamiętam, jak poeta, Jan Kasproicz, w czasie plebiscytu na Warmii i Mazurach, przemawiał do tłumu słuchaczy polskich, mieszkańców Kwidzyna. Nic nie zdoła odtworzyć mocy jego słowa i nic nie zdoła wyrazić entuzjazmu słuchaczy, zamknię-

tego w oczach, w bładości lic, w jęku i westchnieniu. Chwyтали w dusze swe nakazy: nie lękać się Niemców! nie dać się! bronić się! — przemocy, wiecznej napaści i wiecznemu gwałtowi przeciwstawić moc polską! Gdyby dziś temu znakomitemu mężowi i poecie przyszło mówić te słowa w środowisku rdzennie polskiem, w stołecznej Warszawie, lub wolnym Krakowie, czy miałby takich słuchaczy? Słuchałyby go uszy głuche, a słowa jego obijałyby się o serca oziębłe. Powiedzą mi, oczywiście, iż to nie sprawa i zadanie poetów — porty budować. Lecz trzeba ten port, jego obraz, jego niezbędną konieczność, jego narodowe widziadło w duszach ludzkich wykuwać, ryć w sercach, ciosać w granicie woli. Trzeba otoczyć to dzieło pospólną miłością. Trzeba je za dnia i w nocy budować wszystkimi ziemiami i całym narodem.



Z. Dębicki.

Warszawa a Kresy.

Warszawa jest miastem o dziwnie zamkniętych horyzontach. Dumna z tego, iż jest stolicą Państwa, dumna — i słusznie — ze swoich tradycji historycznych, z zadowoleniem mówi o sobie, iż jest „sercem i mózgiem Polski“, w rzeczywistości jednak nie czuje i nie myśli za całą Polskę. Obraca się dokoła swojej własnej osi, w granicach przedewszystkiem swojego obszaru, od rogatek do rogatek i rzadko kiedy poza ten obręb wychodzi. A jeśli wybiega myślą dalej, to bez porównania chętniej ku Europie Zachodniej, niż ku t. zw. kresom polskim, o których, gdyby nie napady bandyckie, nikt by może nie wiedział, że istnieją nawet. Ale i o tych napadach czyta się depesze w gazetach, przy rannej kawie, z taką obojętnością, jakby się to działo w Albanji albo w Macedonji, w każdym razie gdzieś bardzo daleko od Polski, a nie w Polsce samej.

Podobnie jest z kresami zachodnimi. Od czasu do czasu warszawianie dowiadują się, iż tam gdzieś na pograniczu toczy się uparta walka na śmierć i życie pomiędzy rdzennym żywiołem polskim a napływowym niemieckim, że walkę tę prowadzi prosty lud, że broni ostatkiem sił swojego języka i wiary, że 2 miliony Polaków, którzy pozostali poza obrębem Rzeczypospolitej, wyciągają ku niej błagalnie ręce i proszą o pomoc, że

niemcy prowadzą agitację na swoją rzecz nawet na terytorjum państwowem polskiem i pod opieką praw polskich — ale opinja publiczna wcale się tem nie przejmuje i nie reaguje na to.

Nie przejmuje również Warszawy to, że nasz dostęp do morza w obecnych warunkach jest dostępem iluzorycznym, że dopóki nie będziemy posiadali własnego portu morskiego i własnej marynarki handlowej, dopóty nie może być mowy o tem, żeby nas uznano za panów wybrzeża bałtyckiego, choćby na tym nikłym jego skrawku, który posiadamy.

Dla Warszawy wystarcza przecież to, że istnieje plaża w Gdyni, że można tam brać kąpiele słoneczne i morskie. Ba! Z chwilą, kiedy przystąpiono tam do robót portowych, odezwały się głosy protestu: „nie psujcie plaży, nie psujcie powietrza, nie zanieczyszczajcie wody w zatoce!“.

A tymczasem idzie tu nie o kąpiele morskie, ale o powietrze dla płuc gospodarczych narodu, o normalne życie całego zabrzeża, które bez własnego portu pozostanie terenem eksploatacji dla obcych bander handlowych.

Kwestja naszego dostępu do morza, a więc naszej przyszłości, łączy się ściśle z kwestją kresów zachodnich. W miarę naszego wzmocnienia się na tych kresach, będziemy także mocniejsi na wybrzeżu. I odwrotnie, każda pięćdziesiąta ziemi, utracona na zachodnich naszych granicach, odsuwa nas od morza, przez kresy bowiem zachodnie idzie nasza droga do Bałtyku, idzie z biegiem Wisły i Odry. Każda dusza polska, ocalona tam przed zalewem niemieckim, wydartą z paszczy Molocha germańskiego, to jeszcze jeden mocno wbity słup graniczny, ostoja naszego jutra.

Z tych dusz musi powstać gęsta i nie do zdobycia palisada. Musimy się o to troszczyć w dzień i w nocy. Musimy z ogromnym wysiłkiem grodzić i budować tamę przeciwniemiecką. Inaczej prędzej czy później pochłonie nas wzbierająca u granic naszych fala najazdu.

Gdyby Warszawa zdawała sobie sprawę z grożącego Polsce i jej niebezpieczeństwa z tej strony, nie byłoby w niej ani jednego obywatela obojętnego na głosy wołające o pomoc z kresów zachodnich.

Kornel Makuszyński.

List

dzieci warszawskich do dzieci na Górnym Śląsku.

Pisany w 1922 roku.

Siostrzyczki drogie, drodzy braciszkuwie!
Piszemy do was ten liścik króciuchny,
Najpierw o wasze się pytając zdrowie,
Potem o zdrowie ojca i matuchny.

List ten zakłęła jedna dobra wróżka
Słowem, co serca na oścież otwiera,
Więc każde słowo w nim ma kształt serduszka,
A pocałunkiem każda jest litera.

List ten na wiosnę zakwitnie, jak wiśnie,
Bo w Polsce serca tak, jak kwiaty kwitną,
A gdy do piersi kto z was go przycisnie,
Litera z czarnej stanie się błękitną.

A kiedy śląskie dziecko ojcu swemu
Obiad zaniesie do głębokiej sztolni,
Wtedy gdzieś w głębi czarnego podziemu
List ten zaśpiewa, jak ptaszkwowie polni.

Bo w nim jest taka wielka miłość nasza,
I to ogromne, ogromne kochanie,
Co się serc waszych uśmiechu doprasza,
I swoje serca śle wam ku zamianie.

O, dzieci śląskie! My tu nieustannie
Błagamy, byście były z nami razem
I wciąż śpiewamy to Najświętszej Pannie,
Przed Częstochowskim klękając obrazem.

Bo Ona kocha was, jak własna matka,
I lzy ma w oczach, kiedy mówi czule:
„... Już się ich boleść skończy do ostatka,
I wnet do mego serca je przytulę!”

Siostrzyczki drogie! Drodzy braciszkuwie!
Wielkie tu dla was gotujemy święta,
A gdy z nas każde miłość wam swą powie,
Spłakane wam się rozśmieją oczęta.

O, przybywajcie, co prędzej, co prędzej!
Chlebem was karmić będziem i sercami,
Czytać będziemy w ślicznej polskiej księdze,
A Polska jako matka będzie z nami.

O, przybywajcie, po Polsce sieroty!
Będzie nam razem jasno i słonecznie,
Noc będzie cicha, dzień nasz będzie złoty,
I tak już będzie — wiecznie, wiecznie, wiecznie...

List ten na białej położymy chmurze,
O, wy najdroższe, górnośląskie dzieci!
Więc kiedy oczy wzniesiecie ku górze,
To wam na serce gdzieś ze słońca zleci!

Aleksander Świętochowski.



Paradoks.

Przodkowie jak tkacze pozostawiają w dziedzictwie swoim potomkom nie tylko warsztaty, ale i wzory pracy. To też w historjografji naszej mamy zbiór pięknych kilimów, które przechowujemy z czcią i naśladujemy z naiwnością, nie badając, ile w ich rysunkach tkwi prawdy. Takim kilimem jest między innymi apoteoza królowania Jagiellonów.

Dzieje Polski przełamały się na zmianie dwu dynastji—Piastowskiej i Jagiellońskiej. Pozornie była to jednakowa tkanina z tej samej przędzy pod różnemi nazwami, w rzeczywistości były to dwie odmienne osnowy. Piastowie strzegli tej dziedziny, w której założył swe gniazdo Orzeł polski, Jagiellonowie otaczali swą miłością tę krainę, w której narodziła się Pogoń litewska. Ku północo-zachodowi zwracały się głównie myśli i uczucia pierwszych, ku południowo-wschodowi—drugich.

Książęta litewscy, wstąpiwszy na tron polski, starali się objąć swem staraniem obie połowy państwa, ale zawsze przeważała w ich umysłach i sercach sympatja dla rodzinnej. Ociągali się nieraz długo z przyjęciem korony polskiej, wkładali ją na swe głowy raczej z musu politycznego, niż ze szczerzej chęci; znużeni starciami ze szlachtą chronili się do swej ojczyzny, w której znajdowali przyjemniejsze powietrze i swobodniejszy oddech.

Ich nastrój przenikał w państwo, które powoli zaczęło przesuwac punkt swej ciężkości od zachodu na wschód.

Ten ruch monarchów wzmacniali możnowładcy. Otrzymawszy rozległe ziemie na obszarze Litwo-Rusi, stali się „królewietami“, faktycznymi władcami Polski, którą coraz silniej wciągali w sferę swoich interesów. Podczas tego ciężenia ku wschodowi zachodnia ściana państwa, pozbawiona opieki i obrony, kruszyła się szybko pod naporem Niemców, którzy wciskali się w nią coraz głębiej. Kiedy więc państwo polskie rozpościerało się powierzchownie na ziemiach obcych, jednocześnie traciło własne, z których wyrosło i w których spoczywały jego główne korzenie. Oddanie dzielnic przymorskich na pastwę tego zaboru, a Prus książęcych w udzielne władztwo dynastji niemieckiej, założyło fundament tej zlej potęgi, która za wspaniałomyślność odpłaciła się łatwowiejnej dobrodziejce podstępny morderem. Polska Jagiellońska stworzyła Prusy i Hohenzollernów.

Jeśli zważymy, że Jagiellonowie okupili posiadanie tronu polskiego szeregiem przywilejów dla szlachty kosztem innych warstw narodu, że pozwolili zniszczyć miasta i ujarzmić lud wiejski, że od nich rozpoczęło się sprzedawanie korony polskiej królom wybieranym za cenę zrzeczenia się praw monarszych; że oni wyhodowali i obdarzyli wszechwładztwem udzielnych mocarzyków, którzy rozbijali, zawichrzali, osłabiali, a wreszcie zgubili państwo, że o ile sami byliśmy twórcami naszego losu, im w znacznej mierze zawdzięczamy naszą utratę niepodległości i obecną trudność utrzymania odzyskanej; to przygaśnie w naszych oczach blask epoki, ochrzczonej ich imieniem i wyłoni się z niej drogowskaz dla naszej przyszłości. Polska powinna się cofnąć z drogi Jagiellońskiej i powrócić na Piastowską. To znaczy: powinna

całą swoją siłę skierować ku obronie kresów zachodnich, zamknawszy wschodnie granicę swego zasięgu plemiennego. *Drang nach Osten* musimy zmienić na *Drang nach Westen*. Tam jest zbawienie, siła i bezpieczeństwo Polski.

Chociażby to, co tu tylko w krótkich słowach mogłem powiedzieć, wszyscy historycy i politycy uznali za paradoks, nie przestanie być dla mnie prawdą i przykazaniem.



Władysław Buchner.

Nasze morze

Ty, co wśród wrzawy giełdy i kantoru,
Zatracasz głębsze człowieczeństwa cechy,
Tworze przyziemny, jak mech gnilny w boru,
Żadny jedynie złota i uciechy.

Ty, co byt wiesz pusty i jałowy,
Najnowszy typie wojennych bogaczy,

Ty, wielkowiejski pigmeju myślowy,
Czy to rozumiesz, co to morze znaczy?

Ty, co dni pędzisz w ciężkim życia trudzie,
Coś stał się w pracy twardy i nieczuły,
Ognisk fabrycznych niezliczony ludzie,
Co masz jedyne bogactwo — muskuły.

Ty, który pragniesz stać jeno w szeregu,
Mrowisk, kujących wszechludzkie podłoże,
Co snujesz żywot wśród kół pędnych biegu,
Czyś świadom tego, co to znaczy morze?

Ty, Muz kochanku, Apolla czcieliu,
Co krocysz drogą ciężką i ciernistą,

Polski poeto, polski myślicielu,
Polski uczony i polski artysto.

Ty, dla którego świat i ludzie głazem,
Który los przędziesz smętny i tułaczy,

Ty, coś być winien Polski drogowskazem,
Czyś dumął nad tem, co to morze znaczy?

Ty, w wiejskiej chacie, kmieciu silny, twardy,
Co do wielkiego choć stworzyś czynu,
Dla działań twórczych masz czucie pogardy,
Ty, rdzeniu Polski, ty, Piastowy synu.
Ty, który czujesz w całym swym istnieniu,
Jeno płat ziemny, co go pług twój orze,
Ty, co zmysł Państwa masz jeszcze w uspieniu,
Czy pragniesz wiedzieć, co to znaczy morze?

Morze to oddech, morze ludów płuca,
Morze narodów siła i potęga,
Kto chce trwać wiecznie, niech się co tchu rzuca,
Gdzie mórz sinawa połyskuje wstęga.

Niechaj tam bieży, niech chwilki nie trawi,
Niechaj nie zazna ni stołu, ni łoża,
Niechaj po drodze kaleczy się, krwawi,
Byleby swoim nazwał skrawek morza.

Morze to wielkie wypadowe wrota,
Z przestworzem jasnem, dalekiem, bez końca,
Morze to przyszłość dla narodu złota,
Morze to droga do szczęścia, do słońca.

Morze to wolność, to wolności szczyty,
Cudowny balsam dla serca, dla duszy,
Morze to szaniec nigdy niezdobyty,
Wał, który wrogie zakusy pokruszy.

Więc ty, co złoto tylkonosisz w sercu,
I ty, co czynisz trud w dymów okopie,
I ty, co dziergasz na Muzy kobiercu,
I ty, co orzesz, twardy polski chłopie.
Zwróćcie ku morzu roztesknione oczy
I wszelkie duszy swej rozmiłowanie,
I baczcie pilnie! Od fal morskich kroczy
Ku nam, potężnej Polski poczynanie.



Jan Nepomucen Miller

Na podbój Polski.

Tradycja romantyczna przekazała nam skłonność do rozrzewniania się na temat wspomnień „z kraju lat dziecinnych” w znaczeniu przestrzennym i czasowym. Ów patriotyzm lokalny, występujący w dziełach najwybitniejszych romanntyków naszych, kultywowany jest poniekąd i obecnie przez nową poezję polską.

Poetą tedy Litwy jest podobno Mickiewicz, poetą Podola — Słowacki, aureolą piękna poetycznego otoczył Żeromski rodzinne strony swoje — góry Świętokrzyskie, Kasprowicz, Przybyszewski wyśpiewali Kujawy, Wyspiański dał poezję Krakowa.

Wielu z młodych poetów, ulegając tej tradycji, idzie śladem wskazanej tendencji: Iwaszkiewicz tedy z lubością zwraca się do swych wspomnień kijowskich, Tuwim z rozrzewnieniem rozgrzebuje śmiecie na cuchnących łódzkich podwórkach, Zegadłowicz wychwala swoje Beskidy, a Okołów - Podhorski — Białoruś.

Wnikając w psychologię tego patriotyzmu lokalnego, możnaby stwierdzić, że jest on w bierności swojej niewątpliwie szczery i świadczy o żywym stosunku poety do swego najbliższego otoczenia w okresie kształtowania się wrażeń i poglądu na świat.

Z drugiej jednak strony możnaby sądzić, że to bezwolne poddanie się urokowi wspomnień „z kraju lat dzie-

cinnych” jest świadectwem pewnego wykołajenia i wybicia z siodła.

Powraca się z rozrzewnieniem do wspomnień dziecinnych przede wszystkim wtedy, gdy nie możemy nawiązać łączności ze światem otaczającym, gdy czujemy się obco w stosunkach nowych i niemiłych. Jest to więc niezdolność do przystosowania się, przejaw pewnego opóźnienia w rozwoju wewnętrznym i bezwładu duszy, która nie może, czy nie umie, wyjść poza wyznaczony sobie przez fatalność krąg ludzi i zdarzeń.

Apoteoza żywota człowieka pocziwego w dawnej Polsce, rozrzewnianie się na temat własnego zagona i uroku życia rodzinnego, zdala od zabiegów i marności świata, z tego samego źródła wypływa i jest niewątpliwem świadectwem bezwładu i bezwoli.

Sądziłoby należało, że w nowej Polsce trzebaby zaszcześcić społeczeństwu, mającemu wszak żyć i rozwijać się, a nie wegetować, inną, wręcz odmienną, zasadę.

Cały świat do nas należy — a conajmniej Polska. Należałoby kultywować ekspansję ducha polskiego wszędzie i na wszystko. Niema dziedzin życia, niema ziemi zakątka, do którego nie rościlibyśmy sobie pretensji duchowej: ukształtowania go na modłę swoich wyobrażeń o świecie.

Wszystko nas obchodzi, nic nie jest nam obojętne.

Poczucie obcości, gdy się wyjdzie poza obręb własnego ogródka, dobre jest dla dziecka, lecz nie dla człowieka, który, wglądając w pełnię, w nieprzebrane bogactwo kłębiących się form życiowych, musi dokonywać świadomego i swobodnego wyboru.

Na podbój świata, odkrycie nowych nieznanych widnokęgów życia, należy ruszyć śladem Jana z Kolna, szlakiem Beniowskiego i tych bezimiennych bohaterskich rycerzy kresowych, którzy, wzgardziwszy cikliwym dorob-

kiem smętnych wypominków, gdzieś na rubieżach Rzeczypospolitej, stykając się z nowymi dla siebie formami życia, w trudzie, mozole, czuwaniu, bezsenności, wywalczyli sobie stację duchową nowego wylądu.

Nie tkliwe wspomnienia „z kraju lat dzieciennych”, lecz instynkt zdobywcy rozrostu i ekspansji, przynajmniej w stosunku do samej Polski, powinien się wyrazić we wgarnięciu w siebie wszystkich ziem polskich, a nade wszystko tych, które najdłużej, lub najboleśniej, odczuły na sobie przemoc wroga, które w walce rozpacznej o elementarne prawo istnienia mogły osłabić w sobie poczucie wspólnego tętna z bijącym sercem narodu.

Na tę nową drogą zdobywców nowej Polski wkroczył pierwszy Żeromski w swojej epopei pomorskiej.

Kto będzie kontynuatorem jego wielkiego dzieła, kto je podejmie, wzmoże i rozszerzy, wyruszając samopas na zdobycie świata?...

Wszystko do nas należy, i nic nie jest nam obce.

Juljan Ejsmond.

Lampa płonąca.

(Parabola o Ojczyźnie)

Jesteśmy jak nocne motyle,
wirujące przy lampy płomieniu...
Ojczyzna nasza jest lampą,
bez niej — giniemy w cieniu...

Do niej ostatkiem siły
dążymy z mrocznej oddali
i kochamy ją nade wszystko,
choć czasem nam skrzydła pali...

Gdy dzień słoneczny dokoła —
nie widzą jej nasze oczy...
Lecz kiedy mroki nastają,
wszystkich nas wówczas jednoczy...

Artur Górski.

Nadzieja

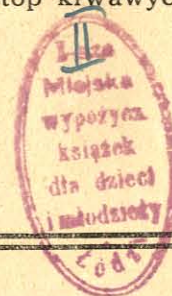
Zawsze tylko te stopy dwie na twardym drzewie
Zsiniąle — reszta chmurą dla oczu zgaszona;
Stopy dwie — a krew ścieka i w miłosnym gniewie
Żłobi górę w dymiących błyskawic ramiona
Góra drży, upał bije od skalnego proga,
Niespokojny sen jakiś wstrząsa jej namiotem —
Tym drzewcem ranna w piersi jak oszczepem Boga,
Płonie, i jakieś imię głuchym wodzi grzmotem;
Jedno imię: na słońce i do gwiazd je rzuca,
Nim wstrząsa bezmiłości grody i bezcześci,
Wulkan świata — ze Słowa ma ogniste płuca
I głosi Tego, co zwan Człowiekiem Bolesci.

Gdziekolwiek oczy zwrócę, widzę go: olbrzymi
Majaczy, każdą drogę kończy i bezdroże,
Zawala widnokregu skłon i grzmi i dymi,
Nikt go minąć i nikt przejść za niego nie może —
Wzniósł czoło, gdzie gwiazdami zapisana księga,
Płaszczem swoim ogarnął cały dom człowieczy —
Wódz życia — w bezmiar idzie, a jego siermięga
Błyszczą po nocy wieków i nicości przeczy.

Wulkan świata — pod stopą go czuję na bruku,
W domu, w rannej pół ciszy, w tłumie, w myślach,
[wszędzie,

I w całym wielkim życia rozruchu i huku
Jego słyszę z katakumb śpiewane orędzie;
A wtedy dusza milknie, idzie wgłąb i słucha,
Cała się od posągów i bożyszcz odtrąca,
Widzi jaka ta ziemia na wulkanie krucha,
Jak na wszystkim szadz leży popiołu gorąca,
W jakim chłodzie ją żywą przymuszono zostać
I grzać się przy ognisku nocnym, co ma postać
Tego ognia czeladnej izby u prałata. 6.N
Gdzie się Miłości swojej zaparł apostata
Piotr, — tę duszę, co cała jedną żywą bliźną
Tylu bitew, co wulkan ma swoją ojczyznę
I nad otchłanią w sobie skrzydła woli złamać
I runąć w bezdno pragnień — niż się dać okłamać
Wielolicej mądrości dnia, i dać oslepić,
Lecz raczej z orlicami pójdzie gniazdo zczepić
Na tej górze ognistej, gdzie nie świata runy;
Lecz cichych bezimiennych zdarzeń wielkie cienie
Tkwią na ścianach, wryte przez serca pioruny
I w wieczność zamienione przez ludzkie sumienie.

Zawsze tylko to jedno przywidzenie zwiewne
Ponad wszystkim co ludzkie, własne i pokrewne,
Zawsze ta jedna głowa, co jak księżyc bije 189
W morze duszy i budzi głosy - Walkiryje
Wszystkiego niechać, wszystko po drodze uronić,
Lecz myśl najgłębszą serca wysledzić, dogonić
I na ten szczyt płomienny, przez noc i zawieję
Donieść i u stóp krwawych złożyć swą nadzieję.



Jerzy Szaniawski.

Brzozowa aleja.

Bardzo stary pan. Mało już słyszy, mało widzi. Nos ma wielki i taki, jak dziób ptaka, a usta bezzębne.

Mieszka w bardzo starym dworze. Spróchniałe podwaliny sprawiają, że jedno okno wyżej, drugie — niżej. Wysoki omszały dach; okap w niektórych miejscach idzie za osiadającą ścianą ku ziemi, tylko ganek, wsparty sześcioma filarami, trzyma się, jak przed laty.

Za dworem park: wielki dąb, topole, zaśniedziały staw, nad stawem dwie spróchniałe wierzby, pozatem — pokrzywy. Niegdyś stało tu tysiąc drzew, między drzewami aleje, polanki. Nazwa przetrwała dłużej: dotychczas mówią — „park”. To jedno, jak przed laty. Brzozy wielkie, płaczące. Niegdyś liczni goście w tym dworze mawiali: „romantyczna aleja”.

Za dworem olbrzymia stajnia. Pod resztką dachu dogorywa koścista kobyła i zgrzybiały kuc. W tejże stajni — krowa, oborę bowiem dawno zwałił wicher.

Służba: jeden stary człowiek. Jeden stary człowiek jest kamerdynerem, kucharzem, woźnicą. Doi również krowę, pierze i ceruje bieliznę. Liczba mnoga — „służba” — to żart.

Jesień. Zimno już wewnątrz domu — ciepło, bardzo ciepło na ganku. Starego pana grzeje jesienne słońce, pieści, usypia. Śpiącego, budzi czasem, mocno tnąca na

jesieni, mucha. Nawpół ośleple oczy patrzą zdziwione: widzą znów żółte liście brzozowej aleji; prawie zupełnie ogłuchłe uszy chwytają żalony krzyk kawek. I wówczas z pańskiego serca wypływa tęsknota. Pan na kogoś czeka. Kto to ma być — nie wie. Ktoś z daleka. Będzie szedł cicho z zamglonej głębi brzozowej alei. Nie idzie nikt. Starzec zasypia.

Do lichej mieściny zjechali artyści. Rozlepili afisze. Twarze zniszczone, ciała głodne, dusze niepodległe. Postacie znajome. Mniej już znajome z życia, a więcej z powieści.

Wybrali ze swego „towarzystwa” najmłodszą, młodziutką — dziecko. Podeszła do niej upudrowana ruina kobiety w rudej peruce i na wielkie rzęsy cudnego dziewczęcia nakładła czernidła. Dyrektor, małeńki, pękaty, przyniósł najwspanialszy płaszcz z garderoby, szkarłatny, królewski i narzucił go na ramiona dziecka, mówiąc z żalawionemi oczyma: „O najpiękniejsza perło moja, o różo róż, jedź i przywieź nam szczęścia los!” Dano jej towarzysza, co był chudy i smutny, co milczał, na wszystko się zgadzał i nie wierzył już w nic.

I pojechali we dwoje, ze stukiem, klekotem, dzwoeniem na żydowskim wózku „z biletami do dworów”.

Zastukał buciskami sługa, stary pan się budzi. Dwaj starcy patrzą, otworzyli bezzębne usta: przed nimi dama w szkarłacie, a za nią, jakby długi cień karawaniarza.

Poznała, który pan, a który sługa. Mówi do pana. Będą grali komedję z francuskiego.

— Komedya z francuskiego! — huknął do pańskiego ucha sługa.

Pan zrozumiał. Zrozumiał, że zjechała „Komedja francuska”. Nie widzi prawie twarzy, tylko te oczy czarne,

ogromne i szkarłatny płaszcz. Mówi po francusku, słowa słodkie, uprzejme, radosne, dziękuje za wielki zaszczyt, prosi wszystkich, ażeby tu zjechali, pyta o zdrowie Sary Bernhard — a zarazem gniewa się w myśli na sługę: „czego tu stoisz przy damach ze śmierdzącą fajką? Tu Paryż, Wersal przyjechał, a ten z fajką”. Głośniej rzucił: „Nakrywać do stołu!”

Gdy pan mówił, bełkotał do dziewczęcia w szkarłacie — sługa poszedł do kuchni, mrucząc: „Właśnie... nakrywać do stołu... postawić wina, marcepana...” Wziął nóż. Parę razy przejechał nim po podeszwie. Przycisnął do piersi bochen razowca i uciął dwie pajdy. Nałożył sera. Niesie. Powiada do dziewczęcia w szkarłacie:

— Z jaśnie panem pani się już nie dogada. Tyle ma lat, co i ja, ale rozumu mniej. Na wasze sztuki my już nie pojedziem. Choćbyście nam największe bezeczeństwa przedstawili, choćbyście nam najstraszniejszą rozpustę pokazali — my już na to za starzy. Ananasa, frykasa w domu nie mamy. Ale kawałek chleba to się jeszcze znalazło.

Zagrała „dumę królewską” i spojrzała na chleb z wyniosłą pogardą. Ale że była dziewczyna głodna, a nie głupia — chleb wzięła. Pan zęgnął się, klaniał, bełkotał o rewizycie. Odjechali. Pan widział jeszcze czas jakiś czerwoną plamę wśród złotych drzew.

Usiadł na fotelu. Zasypiał. Ocknął się czasem i wspomnienie gościa w szkarłacie rozżarzało się w nim silnie, wpatrywał się w złoto alei i znów kolory zachodziły mgłą, niknęły, gasły — zasypiał.

Edward Kozikowski.

Wycieczka na Lipowiec.

Wyjdziemy na gościniec szeroki w dwóch rzutach,
aby minąć te lipy i nie wrócić tutaj,
gdzie cmentarzysk słowiańskich długie idą linje —
po śladach wydeptanych tysiącem stóp w glinie.

Dopiero w dwie godziny, a może i dłużej —
ujrzymy basztę, której czas nie zdążył zburzyć,
z tych bitych schodząc traktów na piaszczyste zbocza,
gdzie jeno chabry kwitną o niebieskich oczach.

Wspinamy się pod górę po jakichś nasypach,
wzdychając, że ciężarów nie ciągnie ekwipaż,
kryjemy się po lasach spotykanych w drodze,
do których jeszcze żaden nie zajrzał przechodzień.

Aż wreszcie jakiś wielki wał murów wyrasta,
za tem miejscem, gdzie z lipą splótł konary kasztan
i po gładkiej pochylni stajemy u bramy,
gdzie pies broni dostępu, wskoczywszy na kamień.

Po schodach zapadniętych, po załamach cegły,
wdzieramy się na basztę niedostępną niegdyś,
z której w lochy piwniczne strącano skazańców,
potrząsając nad nimi krzyżem i różańcem.

Może z ciemnej czeluści ktoś na nas zawoła,
bo dwa orły nad basztą zawisną w półkolach,
i, walcząc z jakimś wichrem, co nas zmieść chce na dół,
będziemy szukać może urojonych śladów.

I nie wiem, czy znajdziemy, lecz w słonecznej dali
ujrzymy w pewnej chwili blask wiślanej fali
i śladem tych obłoków, co na zachód idą
dostrzeżemy w mgłę pasmo nierówne Beskidu.

I może wiatr ucichnie i spadnie na łąki
z pierwszym lepszym po drodze spotkanym skowronkiem,
by z marzenia, co pierchło, jak te orły w chmurach,
nie uronić w tej drodze najmniejszego pióra.



Edward Kozikowski.

Szlak Jana Kazimierza.

Tędy sobie otwierał jedną z dróg niewielu:
górami, dolinami, które śnieg pobielił,
i wiatr jakimś kaprysem wydmuchał po bokach,
aby droga królewska nie była szeroka.

Tędy szedł, albo jechał i dziwił się może,
że go znów na rozstajach witają w pokorze,
i jacyś ludzie palą ogniska na śniegu,
oczekując na króla, co królować nie mógł.

Tędy wracał do Polski, tym właśnie parowem,
co skręca nagle w prawo, jak groźna zapowiedź,
by wdrapać się powoli tą urwistą ścieżką
na sam szczyt, który wyrósł przed nami bez przeszkód.

Może słuchał trzepotu świerkowych gałęzi,
Pokumanych z chmurami, drżących na uwięzi,
i może nie chciał wierzyć, zsuwając powieki,
że te drzewa przeżyją jeszcze ze trzy wieki.

Tędy schodził na drogę prosto do Wadowic,
tutaj wsparł się o drzewo wysłuchując nowin,
których mnogość nietylko króla mogła zdumieć, —
i stąd patrzył na Beskid w jakowejś zadumie.

Nic więcej tutaj niema, na królewskim szlaku,
po którym gwiazdy chodzą i ciągnie sto ptaków,
bo z tych marzeń dziejowych, którym trudno sprostać,
najdrobniejszy ślad bodaj w kronikach nie został.

Jerzy Kurnatowski.

Sienkiewicz i Żiżka.

Październik 1924-go roku dziwnym przyrzędzeniem losu splócił w wspólnej chwale wielkie imiona twórcy Trylogii i Krzyżaków, oraz bohatera rewolucji czeskiej, który był również rycerzem z pod Grunwaldu. W końcu Października — przy przewiezieniu zwłok Sienkiewicza przez Czechosłowację — naród czechosłowacki złożył hołd pamięci wieszczą, którego duchem się karmił, a jednocześnie dał wyraz uczuciom braterskim, jakie żywi dla Polski. Nieco wcześniej, 11-go Października, Czechy obchodziły uroczyste pięćsetletnią rocznicę zgonu Żiżki, a cały 1924 - ty rok był rokiem poświęconym jego pamięci.

Głęboko przemyślane, opracowane w niezliczonych wydawnictwach, odczytach, uroczystościach, przedstawieniach teatralnych wspomnienia Żiżki przygotowały i odświeżyły tę atmosferę sympatji dla Polski, która w tak wspaniały sposób ujawniła się przy przewiezieniu zwłok Sienkiewicza.

Nietylko bowiem łączy obydwie te imiona to, że Sienkiewicz jest autorem Krzyżaków, a Żiżka na czele rycerzy czeskich walczył pod wodzą Władysława Jagielly pod Grunwaldem.

Łączność jest daleka głębsza. Żiżka, jako zwycięzki wódz rewolucji czeskiej, zerwał wszystkie więzy łączące Czechy z Cesarstwem Niemieckim i postanowił przeprowa-

dzić wielkie dzieło unjipolsko-czeskiej, która od tego czasu stanie się linią wytyczną czeskiej polityki zagranicznej aż do chwili utraty niepodległości.

Czesi proponują koronę Władysławowi Jagielle; gdy ten jej nie przyjął—zwracają się do Witolda, który w charakterze „zastępcy pożądanego Króla polskiego” posyła do Pragi swego synowca, Zygmunta Korybutowicza.

Młody Korybutowicz, otoczony świtą polskiego rycerstwa, przybywa nad Weltawę i pozwala się kierować wytrawnemu mężowi stanu i wielkiemu wodzowi, jakim był Żizka. Korybutowicz zwracając się do Żizki, mówi mu „ojcze”. Żizka odpowiada „panie synu”.

Niestety — zawarty w Popradzie na Spiżu pomiędzy cesarzem niemieckim Zygmuntem Luxemburgiem, Władysławem Jagiellą, a Witoldem układ pozbawia Korybutowicza poparcia Polski, mimo to idea unji polsko-czeskiej nie zamiera, znajdzie wyraz w licznych kandydaturach polskich na tron czeski, a ostatecznie wprowadzi ją w życie wielki narodowy król czeski, Jerzy z Podjebrada, zapisując w testamencie—z pominięciem własnego syna — koronę czeską Władysławowi, synowi Kazimierza Jagiellończyka.

Naród czeski spełni ten testament i Jagiellonowie przez pół wieku (1471 — 1526) będą królami czeskimi.

Nie z winy Czechów Jagiellonowie opuścili tron czeski i nie z ich inicjatywy zajęli go Habsburgowie.

Czeska myśl polityczna, w dobie największego rozkwitu tego narodu, doszła do idei unji polsko-czeskiej. W niej właśnie — nie włączeniu się z Austrią, lub w popieraniu Prus — upatrywała ona przyszłość i zbawienie i dla Czech i dla Polski.

Pięćsetletnia rocznica zgonu Żizki z całą jasnością uprzytomniła narodowi czeskosłowackiemu zasadniczą

myśl polityczną wielkiego wodza, myśl, która i dla nas nie może być obojętna.

Nic się właściwie nie zmieniło.

„Drang nach osten” jest, jak był, a dwóm wielkim, dwóm — bodaj jedynym — przeszkodom, jakie spotyka na swej drodze — na imię dziś, jak pięćset lat temu: Polska i Czechy.

I dziś, jak wówczas, cały spryt intryg niemieckich wysiła się ku temu, aby przeszkody te usunąć; nie razem, gdyż to jest zbyt trudne, a kolejno: najprzód Biała Góra, potem Maciejowice.

I właśnie dlatego, aby przeciwdziałać tym zakusom, aby uniemożliwić przyszłe Maciejowice i przyszłe Białe Góry, i my — w pamiętnym roku przewiezienia zwłok Sienkiewicza do kraju i pięćsetletniej rocznicy zgonu Żizki — ze zbożną pamięcią winniśmy zwrócić się ku wskazaniom, które nam dają wielkie duchy tych wielkich zmarłych

Leopold Staff.

* * *

Kto szuka Cię, już znalazł Ciebie;
Już Cię ma, komu Ciebie trzeba;
Kto tęskni w niebo Twe, jest w niebie;
Kto głodny go, je z Twego chleba.

Nie widzą Ciebie moje oczy,
Nie słyszą Ciebie moje uszy:
A jesteś światłem w mej pomrocy,
A jesteś śpiewem w mojej duszy!

* * *

Daleko pójdę, zdaleka wrócę.
Dokąd ja pójdę i wrócę skąd?
Zdobędę wszystko, gdy wszystko rzuć,
Odzyskam bezmiar, straciwszy kąć.

Ból swój ucieszę, żalność odsmucę,
Śmiechem powitam wygnania łąd!
Daleko pójdę, zdaleka wrócę:
Dokąd ja pójdę i wrócę skąd?

Jan Lorentowicz.

Teatr na kresach.

Legenda wielkopolska opowiada, że Niemcy, podczas budowy teatru Wielkiego w Poznaniu, wmurowali w fundamenty głaz, na którym wryto takie słowa: „W gmachu tym nigdy nie będzie rozbrzmiewała mowa polska“.

Proroctwo krzyżackie zawiodło. Mowa polska rozbrzmiewa od sześciu lat nie tylko w tym uprzywilejowanym gmachu tryumfującej niemczyzny, ale we wszystkich teatrach, które Niemcy pobudowali dla siebie na ziemiach polskich: w Toruniu, Bydgoszczy, Grudziądzu, Katowicach. *Sic vos!*... Powstająca państwowość polska nie prędko zdobyćby się mogła na własne gmachy teatralne. To, co miało być niezawodnym narzędziem germanizacji. Nemezys dziejowa zamieniła w placówki odrodzonej polskości.

Z metody propagandowej Niemców wynika jednak nauka, z której, niestety, nie korzystamy dostatecznie. Ani społeczeństwo, ani czynniki miarodajne w państwie nie zdają sobie dotychczas sprawy, czem mogą być teatry, jako rozsądnik kultury polskiej. Ustaliło się (niewypowiedane głośno, ale — istotne) przeświadczenie, że w oddalonych od stolicy miastach i miasteczek może pracować *jakikolwiek* teatr. Mniejsza oto, *co* będzie grywał i w *jakim* wykonaniu poda sztukę. Mamy więc na kresach wschodnich takie subwencionowane *tournées* autorskie, które wożą z miasteczek do miasteczek dwie tylko sztuki:

„Upiory“ Ibsena i „Instynkt“ Kistaemekersa, Mamy na tychże kresach takie zjawiska, jak np. w Łucku, w którym magistrat przed dwoma tygodniami zakłada własny miejski teatr *stały*, aby tylko mieć kontrolę nad repertuarami i nie dopuszczać do osobliwej propagandy teatralnej, obcej polskości.

Z drugiej strony kompromitujemy się nie mniej dobitnie i znamiennie na kresach zachodnich. Niemcy, zakładając na ziemiach polskich swe teatry, nie tylko starali się o dobre trupy, ale raz poraz sprowadzali na dłuższe występy gościnne aktorów z Berlina i innych większych miast. My zaś, odzyskawszy Katowice, czynimy tam doświadczenia teatralne wprost śmieszne. Założyliśmy operę bez środków artystycznych i podawaliśmy publiczności „Halkę” bez roli Halki. Teraz sklecieliśmy bezplanowy teatrzyk prowincjonalny, który tłucze po całych tygodniach, co się da: farsy, operetki i komedje *cudzoziemskie*. A w dodatku wszystko to dzieje się pod opieką władz.

Nic nie pomogą hasła: „nie damy ziemi!”, skoro jej nie umiemy odebrać duchowo i utrwalić się na niej własną kulturą.

St. Bończa-Skokowski.

Ślubowanie.

Nie damy ani jednej piędzi naszej ziemi,
Co zarem krwi serdecznej, ofiarnej wybucha
I modli się praojców kośćmi zbielełymi:
Jednego dźwięku mowy, ani iskry ducha!

Nie damy tego łąnu, gdzie zboże się pleni,
Tej łąki, co od wieków mowy polskiej słuca.
Nie damy ani jednej garści naszej ziemi,
Której nam nie wydarła wieków zawierucha!

Jak ongi nasi dzielni ojce — pradiadowie —
Przy pierwszym ewangelji Chrystusowej słowie —
Ślubowali jej wierność na ostrze bułata...

Tak my — szable podnieśmy w cztery strony świata,
Aż pójdzie w świat szeroki brzęk ich głuchy, niemy:
— Żołnierze! szable w górę!... Bacność!... Ślubujemy!...



„Kresy Zachodnie?” Wyrażenie jest zupełnie nowe. Nie znał go język dawnej Rzeczypospolitej. „Kresy” w Polsce, to termin wojskowy. To linja strategiczna twierdz i chorągwi strzegących pogranicza pomiędzy Dnieprem a Dniestrem przed Tatarami, Wołoszczyzną, Kozactwem. To teren, na którym rządziły „artykuły hetmańskie” a nie prawo publiczne, które tam nawet przestępców osiągnąć nie mogło.

W „Timesie” pisano niedawno, że „Kresy” to nazwa dziś nadawana w Polsce wszystkim terytorjom wschodnim o ludności mieszanej, tym terytorjom, nad którymi władzę zapewnił nam Traktat Ryski. Istotnie tak się to utarło w mowie potocznej. Jest jednak w tem wyrażeniu jakaś niepewność, nieśmiałość, niejasność, „Kresy” to coś jakby dalekiego, nieznanego, niezspolonego jeszcze należy z całością i od niej wyodrębnionego. To coś poza widnokretem swojskim pewnym i bezpiecznym. To kopce strażnicze i horodyszczka warowne, poza którymi już nie tylko kres Polsce, ale kres uporządkowanemu światu.

A teraz — „Kresy Zachodnie?” Skoro się tak mówi i pisze, musi być w tem coś więcej niż nieporozumienie terminologiczne, coś więcej niż mylne wyobrażenie, że Kresy — to tyle, co granice państwa, co pograniczne ziemie wogóle. Czemuż się bowiem nie mówi o woje-

wództwach małopolskich, jako o „Kresach Południowych”? Pewnie nie dlatego, że wtedy już tylko samo dawne Królestwo Kongresowe nie byłoby w Polsce „Ziemie Kresową”.

Mówi się o „Kresach Zachodnich” może dlatego, że w tradycji historycznej z pojęciem „Kresów” złączyło się przedewszystkim pojęcie niebezpieczeństwa i potrzeby zdwojenia czujności państwowej, aby temu niebezpieczeństwu nie dać się nagle zaskoczyć. Może dlatego także, że myśl polska przywykła od wieków widzieć zaraz po za „Kresami” coś nieobliczalnego, barbarzyńskiego, coś, z czem żadne układy, traktaty, poręki nie przydadzą się na nic i nie zabezpieczą przed niczem.

Poza granicą zachodnią miała dawna Rzeczpospolita zawsze wrogów bardzo potężnych. Od samego świtu swego istnienia toczyła z nimi walki śmiertelne. Nie było takiego okresu, w którymby nie czuła drapieżnych palców wyciągniętych łapczywie ku jej dziedzinom. Patrzyła z troską na powolne wżeranie się w jej organizm konsekwentnego parcia na Wschód germańskiego wpływu i germańskiej potęgi. Zdawała sobie sprawę z systematycznego odpychania przez te wpływy i przez tę potęgę polskiej prężności ku przeciwnym granicom i przestrzeniom.

A przecież — nie było mowy o „Kresach” na Zachodzie. Jeżeli przyszłość przedstawiała się od tej strony zawsze ponuro, to jednak, — przynajmniej od dni Grunwaldu, — każdą chwilę bieżącą można było oprzeć o pewne normy cywilizowane. Można było widzieć i rozumieć zamysły, można było je paraliżować przewidującą polityką, można było wymierzać czas pokoju, przewidywać terminy starcia, szukać czasem nawet sojuszów o wspólne interesy opartych, sojuszów zawsze niepewnych, wątpliwych i podejrzanych, ale dających czasem doraźne korzyści, zyski, nawet chwilową pomoc i obronę.

Nacjonalizm i Komunizm uczyniły z Niemców dzisiejszych czynnik w nieobliczalności i barbarzyństwie podobny do tych żywiołów, z którymi Polska miała niegdyś do czynienia i z którymi ma dziś do czynienia na „Kresach”. Łączą nas z Państwem Niemieckim traktaty, układy pogórki. Zdawałoby się tedy, że możemy być spokojni o bezpieczeństwo naszych granic zachodnich przynajmniej na najbliższe jutro. Ale nacjonaści i komuniści w Niemczech ważą sobie traktaty mniej niż „orda” tatarska i głośno się tem chlubią. Stwarzają w ten sposób dla naszego Pomorza i naszego Górnego Ślązka nastrój bezprzerwanej grozy, nastrój tak dobrze znany niegdyś „Kresowcom” na Czarnym i Kuczmańskim Szlaku, nastrój tak codzienny i dzisiaj w województwach wschodniego pogranicza. Cóż się tedy dziwić analogji językowej, która w dzisiejszej Polsce każe już mówić o podwójnych Kresach uporządkowanego świata — nie tylko na Wschodzie, ale i na Zachodzie naszego Państwa?

Ma to wszakże i swoje dobre strony. Zbyt łatwo niegdyś dawaliśmy się uspić cywilizowanym normom polityki niemieckiej i zapatrzeni we wschodnie chmury i burze zbyt ufaliśmy „pruskim przymierzom”. Dziś pojmujemy, że Polska musi mieć oczy otwarte na wszystkich granicach i nie ufać radom, które nam każą skupiać całą uwagę na jednym tylko z zagrożonych frontów i według tej tylko uwagi normować rację stanu państwa.



Anna Stłoczyńska.

Ach! Któryż jestem „ja“?

...Ach! któryż jestem „ja“?: czy ten z obecnej chwili, co kwiat teraźniejszości rwie u życia bram?, czy ten — z wczorajszej: z tej, co się już w przeszłość chyli?, czy ten — jutrzejszy: ten, którego nie znam sam?

Tylu ich przeszło. Tylu przyjdzie. Przejdzie tylu: — wschodzą ze wschodem chwil i mrą ze śmiercią chwil..., a każdy w innej barwie jest i w innym stylu, a jeden od drugiego — o tysiące mil!

Niejednego z nich czasem podziwiam prawdziwie, — niejednemu zazdrozczę nieraz z całych sił, — niejednemu niekiedy ogromnie się dziwię, — o niejednym nie mogę uwierzyć, że był.

Czasem pragnąłbym wszystkich ich zobaczyć razem, jakiegoś podobieństwa dopatrzeć w nich ślad, kazać im porozumieć się jednym wyrazem: Wspólnego ducha z ciał im wyluskać, jak z szat!

Więc wołam ich z nicości: tych moich aktorów, którzy jedynie „mój” grywali płacz i śmiech — i wierzę, że przyniosą garść spełzłych kolorów..., i wierzę, że przyniosą garść powiędłych ech...

...Lecz oni: jak są dziwni! Nie widzą, nie słyszą,
idą, jak lunatycy, księżycową mgłą—
a ich otwarte usta są — jedynie ciszą...,
a ich otwarte oczy—tylko mrokiem są...

Więc czuję: nic nie dadzą, nic mi nie rozjaśnią,
odejdą, błękitniejąc,—w zapomnienia dym...,
lecz: piekielni są! tak piękni, jakby byli baśnią,
w której płacz i śmiech tworzą najcudniejszy rym!

I—niczego już nie chcę, o nic już nie pytam,
i wszystko mi już jedno, czy nie wiem, czy wiem—
i tak, jak oni, ciszą błękitną zakwitam,
mówiąc sobie, że życie—najmglistszym jest snem.

Stefan Krzywoszewski.

* * *

Polska nie posiada granic naturalnych. Nie oddziela ją jej ziem od posiadłości sąsiadów ani pasma wysokich gór, ani łożyska rzek szerokich. Granice Polski, na zachodzie zwłaszcza, otwarte są na ścieżaj dla najazdu wroga.

Jaką linię obronną możemy stworzyć? Jedną tylko: nieugięty front męźnych serc obywatelskich. Obywatele polscy, zamieszkujący dzielnice kresowe, to nasza przednia straż. Od ich uświadomienia, dzielności, męstwa i siły wytrwania zawisło bezpieczeństwo Rzeczypospolitej.

Lecz mamyż prawo nakładać tak ciężkie obowiązki na pewien odłam współobywateli, nic lub mało w zamian dając? Zaiste nie. Polska ludność kresowa winna być okiem w głowie rządu i narodu. Rząd i naród winny ludność tę, na pograniczne azardy wystawioną, otaczać najtroskliwszą opieką, — najczulszą troską o jej byt duchowy i moralny. Trzeba, aby każdy Polak, zamieszkujący ziemie kresowe, cenil należycie wartość obywatelstwa polskiego, wartość przynależności swej do Rzeczypospolitej.

Zuzanna Rabska.

Wizja klasztoru.

(Biblioteka Jagiellońska).

Czy to klasztor tokański? Ciche wirydarze ...
Pośród arkad gotyckich migdałowe drzewa
Różowią. Szepcąc pacierz biały mnich polewa
Białe róże, rozkwitłe w południowym żarze ...

Przez otwarte galerje podwórza, z wieczora,
Przesuwają się mnichów pokutne szeregi, —
Na tle rzeźby krużganków proszą wiosny śniegi,
W *Porta Aurea**) jawi się postać przeora ...

Wizja znika ... Surowy podwórzec książnicy
Jagiellońskiej, jak gotyk strzelistej świątynicy,
Ostrołukiem szych arkad ku niebiosom wzdycha! ...

A tam, w cichych lektorjach, bezcenne foljały,
Co w dostojnej książnicy pięć wieków przetrwały,
Białą się, jak kwiat róży tokańskiego mnicha! ...

*) Złota brama.

Zuzanna Rabska.

Z Cyklu:

Magja książki.

Odpowiedź książek.

Książki me! Godziny życia nieme, wierne świadki!
Przystani, gdzie dopływa dusza umęczona!
Pełna kwiatów i zdroi ty łąko zielona,
Książnico, gdzie złożone barwią się okładki!

O książki, drogie książki! O zmierzchu i nocą,
Gdy już życie opuści swoje skrzydła ciemne,
Tytuły z waszych grzbietów, jak jakieś tajemne
Słowa, cyfry i znaki tlą się i migocą —!

Ten długi napis z książek jest jak pełne treści
Zdanie, obce mi dzisiaj, co sens życia mieści —
Powtarzają je tomy oprawne przeróżnie! —

Lecz zadzwoni godzina, gdy to złote zdanie
Da mi wreszcie odpowiedź może na pytanie,
Które rzucam z nad książki tyle razy w próżnię! —



Aforyzmy.

Władysław Rabski.

Wśród walk „młodych i starych” w literaturze i sztuce z szczególną nienawiścią zwalczą się tych weteranów, którzy mają najwięcej talentu, zasługi i kultury.

* * *

Pogardzam ludźmi, którzy niczego nie traktują poważnie. Nie znoszę tych, którzy wszystko traktują poważnie.

* * *

Milszy mi genjusz, choćby błąkał się po manowcach, niż talent, spacerujący po wydeptanych gościnicach.

* * *

G. Daniłowski.

By przywiązać kresy do Państwa, musimy czemś imponować, jakąś wysoką wartością świecić — stać się tą Najjaśniejszą Rzeczpospolitą, która była niegdyś bezpiecznym schroniskiem dla wszystkich za swą wiarę prześladowanych, wzorem tolerancji, dzięki czemu Polska rosła nie mocą zbrojnych zaborów, ale dobrowolnych unij „wolnych z wolnymi, równych z równymi“.

Leon Rygier.

Modlitwa Zawiszy.

Dawne księgi rycerkie nakazywały rycerzom naśladować dwoje zwierząt: lwa i baranka.

Czyż to, z głazu wykuta, u Chrystusowych stóp głowa
Tarza się w kornej modlitwie, zastygła w zbożnym
zachwycie?

To jest pan Czarny Zawisza, mężny Sulimczyk z Garbowa,
Co jutro z królem Jagiełłą w pole wyrusza o świcie.

W piersi mu serce potężne o blachy tłucze się zbroi,
Wezbrane troską niezmierną o prawość rycerskiej duszy;
Nigdy nikogo się nie bał, lecz dzisiaj Boga się boi
I męstwa swego się boi, czy w nim litości nie zgłuszy.

— O Panie, szepce w pokorze, o miłościwy mój Chryste,
Spraw, niechaj pomsty płomienie docna już we mnie
wygasną;

Niechaj pierś, pełną miłości, i dłonie zawsze mam czyste
Od krwi, wylanej na radość, wylanej na chwałę własną.

Z piekielnym jeno starostą chcę walczyć w Twojej obronie,
Chcę widzieć, jak z włócznią w boku u stóp Twych,
skowycząc, runie;

Przeciwko niemu hoduję lwa strasliwego w mem łonie;
Niechaj że lew ten nie pożre baranka o białem runie...

— — — — —

Takci się w przeddzień^o potrzeby modlił pan Czarny
Zawisza,
A Chrystus słuchał na krzyżu najmilejszego rycerza —
Tak niech i prawnuk Zawiszyn gniew pomsty w sercu
ucisza
Ale na sługi piekielne jak lew rozżarty uderza...

Antoni Lange.

Wspomnienie.

Pewien poeta opowiadał mi rzecz następującą:

— Nie pisuję nigdy na zamówienie. Wprost nie potrafię.
Zdarzyło się jednak, że mię redaktor X. prosi: — „Mój
drogi, napisz mi na niedzielę wiersz o Sienkiewiczu.

— Nie mogłem się wymówić: przystałem. Był piątek.

Koło ósmej wieczorem wróciłem do domu. Temat
miły, ale zupełnie mi brak nastroju do pisania. Snuły mi
się pewne myśli, ale urabiane na zimno. Godzina blisko
dziesiąta.

— Było nie było! Szepnąłem sam do siebie. Muszę
dotrzymać słowa. Piszmy na zimno.

I zacząłem „robić“ wiersz ku chwale Sienkiewicza.
Z początku szło mi dość opornie. Powoli jednak widać
się rozpalilem — i liczba wierszy ciągle rosła. Było prawie
sto wierszy.

Postanowiłem z bruljonu przepisać na czysto. Pisa-
łem na dużym arkuszu formy t.zw. kancelaryjnej. Napisałem
początek na pierwszej stronicy, dalszy ciąg na ostatniej
(czwartej). Pozostało jeszcze kilkanaście wierszy. Dla za-
oszczędzenia papieru — odwróciłem arkusz tak, że tekst
przepisany był we środku, a białe stronice (2-ga i 3-cia)
na zewnątrz. Na drugiej stronie przepisałem parę wierszy,
ale się rozmyśliłem. Dla zecera to b. niewygodne. Prze-
kreśliłem — i pragnąłem dalszy ciąg pisać na nowym ar-

kuszu. Zapisany arkusz — z tekstem ukrytym wewnątrz — odłożyłem na bok. Przygotowałem nową białą stonice.

Naraz przyszła mi ochota przeczytać to co napisałem.

Przysuwam do siebie album zapisany, odwracam go tekstem na zewnątrz i biorę się do czytania.

I tu zaczynają się dziwy,

Czytam — i drętwieję ze zdziwienia. Czytam — i nie mogę zrozumieć, co to się stało. Czytam — i przekonuję się, że to jest tekst zupełnie różny od tego, co napisałem. Jest to niby coś podobnego, tok myśli, rytm — ten sam, ale każde wyrażenie jest wspanialsze, świetniejsze, radośniejsze — niż to, co było w mojej robocie pierwotnej. W istocie jest to zupełnie inny utwór: nie to samo, nie to samo! Ani jeden wyraz nie jest podobny: inna muzyka, inny koloryt.

Skąd się to wzięło? Czy ja śnię — czy rzeczywistość mi się dwoi? Szczypię się w rękę — w twarz. Doskonale pamiętam formę pierwotną — i mogę ją w nader logiczny sposób porównywać z tą formą nowozjawioną.

Widzę jasno wszystkie przedmioty na mojem biurku: oto kałamarz, papier, bruljon mego wiersza. Oto podwójna figurka gipsowa: mały Jezus z małym świętym Jankiem. Oto żarówka wpięta w pień drzewa, a przy niem dwie łasiczki wypchane. Oto pudełko kart wróżbiarskich pani Lenormand, a tu książka, którą właśnie czytałem: Larssona *Logique de la Poésie*. —

Nie jestem uśpiony — mam pełną świadomość swoich czynów — jestem przytomny.

Postanowiłem odczytać bruljon — ale i tu, zdumiony czytam nowy, niespodziewany tekst, jaki czytałem w odpisie. —

Wyznaję, że mię przeszedł zimny dreszcz niepojętej trwogi. Znalazłem się na granicy zjawisk niezrozumiałych

Jeszcze raz czytam odpis — jeszcze raz widzę rzecz odmienną, niżem skomponował.

Wyglądało tak (rozważa późniejsza) — jakbym czytał jedną półkulą mózgu, gdy druga błądziła gdzieindziej.

Nigdy nie pisałem żadnego wiersza o Sienkiewiczu. Ale naraz — w tym szczególnym stanie ducha — budzi się we mnie sztuczne przypomnienie rzeczy, których nie było.

Przypominam więc sobie, jakbym niegdyś pisał coś o Sienkiewiczu — i że ten nowy tekst, to właśnie ów wiersz, który tu się nagle ukazał. Ale jak się ukazał i skąd? — A jeżeli ukazał się tamten, to gdzie się podział ten utwór, który dzisiaj napisałem?

Zaczynam go szukać po biurku, ale nie mogę znaleźć. Przepadł bez śladu: jest tylko ten nowy odpis — oraz bruljon — i nic więcej.

Nie — teraz widzę jasno, że nigdy nie pisałem o Sienkiewiczu, a ten nowy wiersz, moją ręką pisany — dostał się do mnie nie inaczej, jak drogą nadprzyrodzoną.

Zapewne jakiś anioł dobroczynny, w sposób sobie tylko wiadomy, tajemniczo przerobił rękopis. Samo się napisało.

Opanowała mię rzewna, mistyczna trwoga. Nie był to zimny dreszcz, ale naprzód wielka radość, poczucie cudu, a potem znowu niepojęty smutek i zamyślenie: co się stało? Wstałem z krzesła — zapaliłem papierosa — i zacząłem chodzić po pokoju. Rozważałem to całe zdarzenie, które się snuło, jakby w czwartym wymiarze.

Była druga nad ranem. Siadłem z powrotem i znowu zacząłem czytać. I nowy dziw — poniekąd rozczarowanie.

Tekst, który teraz miałem przed sobą — był to właśnie ten utwór, który napisałem pierwotnie. Było to najściślej to samo. Nic zmienionego.

Przeciwnie — ten nowozjawiony utwór z czwartego wymiaru — znikł i przepadł bez śladu — i ani jednego słowa z jego tekstu nie mogłem sobie przypomnieć. Pozostała mi tylko pamięć — jakiegoś świetlanego, nadcodziennego stanu ducha. Trwało to wszystko razem nie dłużej nad piętnaście minut. Wróciłem do rzeczywistości.



Emil Zegadłowicz.

Epitafjum poety.

— nie spoczął niepokojem wiecznym targany —
wytchnął jeno PRZED chwilą, — POZA chwilą żyje...
— śladem błędnej komety nigdy nienazwanej
rozświetlił szczęście jedno: to szczęście niczyje...

serce staje się ziemią, którą ukochało
tak bardzo, do ostatka, tak szczerze, poprostu — —
cieszyć się przechodniu miły — oto jego ciało
pokarmem staje się dla traw i ostu — —

przy drodze, drodze wielkiej, jak serca komnata
ślubna: grób cichy mówiący bławatem —
motyl biały o świcie z pod wieka wylata
— niesie w skrzydłach komunje zaświata ze światem...
serce — —

odkryjesz go, odkrywczym niewiedny, szczęśliwy,
w macierzance, dziewannie, nabiale i miodzie —
niesłyszającym twym uszom dziwne zwierzy dziwy
o zwyciężkiej z miłości poczętej pogodzie — —

uśmiechnij się wędrowcze, niechaj ujrzy przecie,
choć oczami kwiatów — na zagrobnym torze —
radość, za którą tęsknił błędzący po świecie
i powiedz żniwne słowo — kościarskie: Szczęść Boże...

Stanisław Betza.

Karol Miarka.

(Kartka z niedoli Górnego Śląska)

W dniu 24 października r. b. wyzwolony z kajdan wiekowych Śląsk Górny, obchodził uroczyste stuletnią rocznicę urodzin jednego z największych swoich synów.

Karola Miarki

Przyszedł on na świat w 80 lat przeszło po oderwaniu tej dzielnicy przez Fryderyka II-ego, na urągowskiśko prawdziwej wielkości nazwanego wielkim przez Prusaków, od Czech i Austrii, których łupem stał się przed wiekami skutkiem omylnej polityki Polski, nie rozumiejącej znaczenia tej ziemi dla nas, a może też nie przewidującej tylko, jak wielkiego szkodnika hoduje ona sobie na zachodnich kresach, ustępując mu beztróskliwie kość swojej kości i krew swojej najcenniejszej krwi.

Więc też gdy w dniu 24 października 1824 roku, pod biedną strzechą nauczyciela szkoły ludowej i organisty w Pielgrzymowicach, w ustronnej wioszczynie w pobliżu Pszczyny, ujrzał on światło dzienne, szkodnik ten, nie zdoławszy na szczęście z ust ludu śląskiego wyrwać mowy polskiej, drogą szatańskich wysiłków tak zniepawił i zgangrenował jego duszę, że choć we włościańskich chatach śląskich rozlegała się jeszcze mowa polska, mową tą niósł on w świątyniach swoich skargi na swoją dolę Przedwiecznemu, uważał się przecież za prusaka, obcego Pol-

sce i nie mającego duchowo z nią nic wspólnego, szczytując się tem, że go do swojego grona przyjąć on raczył.

I mały więc Karol, wzrastając w takiej atmosferze, Ignął od zarania swoich dni do niemców, popisywał się wszędzie, jak mi to sam opowiadał, ich mową, a gdy w szkole ludowej w Pszczynie, do której go rodzice oddali, z katedry nauczycielskiej nie dochodziły do jego uszów inne słowa, jak głębokiej pogardy dla naszej Ojczyzny, którą mu nędzni bakałarze pruscy stale przedstawiali jako kraj żebraków i wyrzutków, nie posiadający innej literatury prócz kantyczek i książek do nabożeństwa, wstydzący się swojego pochodzenia i skazany przez opatrność na zagładę, nic dziwnego, że opuszczając jej progi czuł dla Polski taką pogardę, jaką się czuje do wszystkiego co będąc poziomem i nic wartem, rozkłada się w zgniliznie.

To też lubo po śmierci swojego ojca w roku 1850, objął on posadę nauczyciela ludowego w Pielgrzymowicach i musiał nauczać dzieci między innymi i naszego języka, udzielał go im w skąpej nad wyraz mierze, myśląc o tem, rychło-li nadejdzie ta szczęśliwa dla niego chwila, gdy opiekuńczy rząd pruski wykreśli doszczętnie ten niegodny język, jako coś zupełnie niepotrzebnego, ze szkolnego programu.

Gdy jednak chwila ta w Prusach, nie posiadających jeszcze wtedy przysłego Bismarka, ku ubolewaniu Miarki nie nadchodziła, czując w sobie uzdolnienia literackie, zabrał się dla zarobku do pisania powiastek ludowych i w naszym języku, nie pogardzając przecież przyjmowaniem udziału w konkursie rządowym na patriotyczne dla Ślązaków pieśni pruskie, za które nawet przez dyrekcję szkolną w Opolu wynagrodzony został pierwszą nagrodą.

„Jeżeli co, — i to słyszałem niejednokrotnie z jego ust ciążyć mi będzie do śmierci kamieniem na sumieniu,

to nie co innego jak te pieniądze, które mi w nagrodę za sławienie największych naszych nieprzyjaciół, z sztyderstwem niezawodnie w duszy, składał prusak w ofierze.”

Do 37 roku swego życia Niemiec i to zagorzały z ducha, byłby Miarka Niemcem do śmierci pozostał, gdyby nie przypadkowe zjechanie się z równieśnikiem swoim w Cieszynie, wielce zasłużonym już wtedy narodowym naszym działaczem, Pawłem Stalmachem i w szeregu najniebezpieczniejszych renegatów i zdrajców swojej przyrodzonej Ojczyzny, zajmowałby najwybitniejsze miejsce.

Ale Stalmach zdjął mu z oczów bielmo na resztę jego życia, i gdy w rozmowie z nim usłyszał urągliwe jego słowa o Polsce, o bohaterskiej i męczeńskiej przeszłości naszej, przy głębokiej pogardzie dla literatury, opromienionej już wtedy jasnym światłem geniusza Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, co wszystko, jak powiedziałem, było następstwem tego jadu, jaki w dusze młodzieży po szkołach śląskich sączył niegodziwie z rozkazu rządu nauczyciel pruski, zaprowadził go do swojej podręcznej biblioteki i zapoznał z całym bogactwem wspaniałego naszego piśmiennictwa, z nieśmiertelnym twórcą Pana Tadeusza i Dziadów na czele.

I w jednej chwili stał się cud, Miarka przejrzał i poznawszy przewrotność prusaków znienawidził Prusy i urzędowych ich przedstawicieli, i stał się Polakiem nawskroś.

I jak w Mickiewiczowskim znanym wierszu, szatan, widząc Boga siejącego dla pożytku ludzi ziarna pszeniczne po ziemi, pragnąc je zniszczyć, a z niemi i człowieka, wdeptał je w glebę kopytem, by na wieki przepadły, ku swojemu przerażeniu i zdumieniu ujrzał z wiosną błogosławiony na polach plon, w osobie Miarki nędzny prusak doczekał się godnego swojej przewrotności tak bujnego żniwa, jakie przeszło wszelkie jego oczekiwania.

„O wy, co tylko na świat idziecie z północą,
Chydrość—rozumem, a złość nazywacie mocą,
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać oszuka sam siebie”.

Objąwszy — jak powiedziałem — po ojcu swoim katedrę nauczycielską w Pielgrzymowicach, od tej chwili długo już na placówce rządowej służyć prusakom Miarka nie mógł i nie chciał, i postanowiwszy odrodzić Śląsk i zetrzeć z niego niemiecką rdzę, przerzucił się na arenę inną, nieskrępowaną zależnością od niegodziwego rządu, który, nie po przestawszy na tem, że do współki z dwoma innymi zbrodniarzami dopuścił się na Polskę występku rozbioru naszej Ojczyzny, zohydzał ją dzieciom polskiej ziemi, stawiając im przed oczy obraz budzący w ich duszach ku niej wstręt.

Wkrótce też po naszym ostatnim powstaniu, które martyrologją swoją przyczyniło się potężnie do spotęgowania jego ku Polsce uczuć, widzimy go już przy zajęciu redaktora „Zwiastuna Górnośląskiego”, a gdy na rok przed klęską Francji pod Sedanem i Metzem w roku 1870 zasłużony Chociszewski ustąpił mu redagowanego przez siebie „Katolika” na własność, na nowej placówce pokazał do czego jest zdolny i czem w rzeczywistości chce być.

I na placówce tej oddał niezapomniane usługi Śląskowi.

Broniąc przez lat całych szereg wiary ojców, której prusactwo przez tak nazwaną kulturalną walkę wypowiedziało zagładę, nawołując lud do łączności dla odparcia i pokrzyżowania zamierzeń wroga, usiłującego pozbawić go najdroższych skarbów religii i ojczystej mowy.

Leżała na moim biurku, w chwili gdym te słowa pisał, słynna odezwa Miarki z owych czasów do ludu, którą mi dał, gdym objeżdżał z nim Piastową ziemię.

Tytuł jej: „Jezus, Marja, Józef.”

Może nie będzie nie na miejscu, jeżeli przytoczę z niej parę ustępów.

Dadzą one pojęcie o sile słowa niezwykłego człowieka, i o uczuciach, jakie ożywiały wtedy tego, który kilkanaście lat przed tem odznaczony był nagrodą przez rząd jego kraju, za patryjotyczne pieśni, sławiące Prusy, a poniżające Ślązakom Polskę.

Oto te nieznanne dziś nikomu ustępy:

„Bracia wiarusy! Zawołajcie żony i dzieci, zwołajcie wszystkich domowników, i wraz z niemi upadajcie na kolana, wołając w niebiosy: Jezus, Marja, Józef, ratujcie nas z rąk nieprzyjaciół, bo zginiemy.”

„Tylko głupiec da się im uwieść, tylko łajdak da się im przekupić, tylko nikczemnik zaprzeda swoje braci. Pamiętajcie zatem na śmierć, i na to, że na sądzie ostatecznym staniemy przed Bogiem ze skargą na wrogów naszych i zdrajców kraju. Postępujcie tak, aby na łożu skonania odezwa moja nie stanęła Wam przed oczyma”.

I tak dalej i tak coraz silniej piętnuje on prusaka, zjednanych pieniędzmi na jego stronę stawia pod prężeniem pogardy powszechnej, krzepiąc wszystkich na duchu.

I nawołując do obrony najdroższych naszych skarbów.

To też nic dziwnego, że czytając takie słowa, lud śląski stał przy wierze i języku, po Bogu mu najdroższym, niby mur, podczas gdy prusak groźbą kar więziennych, które sypały się na Miarkę wciąż, i pokusą judaszowych srebników, z jakimi zwrócił się do niego, gdy go złamać za kratami w lochach nie zdołał, pragnął go obezsilnić, lub przeciągnąć na swoją stronę.

Pod koniec roku 1879 wybuchła na Śląsku Górnym klęska głodu. Miarka odrzuciwszy ofiarowane mu za zdradę Śląska pieniądze, postanowił ją wyzyskać w celu zbliżenia Ślązaków do Polski.

Zakołatał więc do Warszawy o pomoc.

Odezwa jego dostała się do moich rąk i pomimo przeszkód stawianych przez rząd rosyjski zawiązaliśmy komitet, ofiary w pieniądzech i naturze potokiem popłynęły ku ziemi naszych Piastów.

Wtedy z ramienia komitetu pomocy udałem się do Mikołaja pod Katowicami gdzie wtedy on zamieszkiwał, i objechawszy z nim południowe powiaty jego rodzinnej ziemi, sprowadziłem go do naszej stolicy.

I zapoznałem z przedstawicielami inteligencji.

Nigdy nie zapomnę uczty jaką Warszawa wydała na jego cześć.

W salonach Resursy zgromadziła się inteligencja cała naszego miasta, a mowy, które kolejno dały się wtedy słyszeć, podczas gdy upojony rozmyślnie z urzędu znajdujący się wśród biesiadników przedstawiciel policji, zapomniał nieledwie o świecie bożym, zelektryzowały, niby piorun, wszystkich zebranych.

Raz jeszcze po owem wtedy przyjęciu zetknąłem się z Miarką osobiście, wsłuchiwałem się w tajemnicy w projekty jego walki z szatańskimi zamiarami prusaków, snułem w ustronnym gabinecie moim przedzę myśli, zmierzających ku spotęgowaniu naszej obrony od nich, nie przewidując, że nie upłynie i dwóch lat, a odejdzie on w daleką drogę, z której niema już powrotu.

Tak się jednak niestety stało; kiedy bowiem w sierpniu 1882 roku nad Bałtykiem zwiedzałem strony, które dziś należąc do nas, wtedy już stały wytrwale na straży polskości tego ważnego naszego okna na szeroki świat,

doszła mnie Hiobowa wieść, że pełen wielkich zasług ten
mąż zamkął na zawsze w Cieszynie, gdzie się przed no-
wem prześladowaniem schronił, powieki.

Nie doczekał więc radosnej chwili obalenia w proch
potęgi, Bogu i ludziom urągającej. Urodzony jak Mickie-
wicz w niewoli i okuty w powiciu, nie ujrzał wskrze-
szonej z grobu do życia Polski i połączenia jej na wieki
z częścią ściślejszej jego Ojczyzny. Zorza, która dziś
jaskrawem światłem ubłogosławia nasz wzrok, nie przy-
świeca mu jak nam o ileż szczęśliwszym od niego — z po-
zagrobowych zatem jedynie sfer promieniuje ku nam nie-
śmiertelny jego duch, zachęcając nas do wytężonej pracy
i ofiarności, dla najukochańszej po Bogu ziemi, tej grani-
towej twierdzy — stojącej na straży między dwiema najwię-
kszymi tyranjami świata: pruską i moskiewską — prawa, po-
rządku, zgody i wolności.

Zygmunt Różycki.

Pociecha.

Niechaj to więc Ci będzie pociechą ostatnią,
Która szlak Ci ku mrokom wiecznym rozwidni,
Ze gwiazdą pozostaniesz moich nocy i dni
I inne się już gwiazdy wkrag nie uwydatnią.

Oparty na tęsknoty drogocennym berle,
Będę myślą wybiegał przeciągle w te światy,
Któreś z przędzy swych marzeń wysnuła bogatej
I niejednym się smutkiem ku tobie rozperłę.

Mijając tych, co w koła Zagrobowe uszli,
Ciebie jedną uśmiechem w snach pobłogosławię,
Dalekiem zapatrzaniem będziesz mi na jawie,
Szumieniem jakby wiecznem rozteczzonej muszli.

U wszystkich bram istnienia stawiać swoje straże,
A na wszystkich gościńcach czujnych wartowników,
Będę zbierał iskierki wszystkich tych płomyków,
W których coś mi się z Ciebie na chwilę ukaże.

Wszystkie progi, na których Cień twój jeszcze stoi
I patrzy cicho w brzózek srebrniejącą korę,
Rozpierzchnionym gdzieś miejscom po świecie odbiorę
I zbożnie je zawieszę znów u myśli swojej.

Oto z fali na falę życiem przerwany,
Będę codzien się modlił modlitwą bezgłosa
Tym wichrom, co mi Ciebie w wspomnieniu odniosą,
Jako dźwięk jednej struny, lecz struny harfianej.

Ku wieczności zbiegając najzłotymi snami,
Ku tej ciszy, co sama nic o sobie nie wie,
Będę piał się ku Tobie w płomieniu i śpiewie,
Aż widzeniem Cię ując cud nieznanym da mi.

A gdy będziesz świetliście przezemnie ujeta
I bladą wstęgą przeczuć moich pochwycona,
Na zawsze już dzieląca opadnie zasłona,
Żaden mrok mi Twych skrzydeł już białych nie spęta.

Niechaj to więc Ci będzie pociechą ostatnią,
Która szlak Ci ku mrokom wieczystym rozwidni,
Że gwiazdą pozostaniesz moich nocy i dni
I inne się już gwiazdy wkrąg nie uwydatnią.



Zygmunt Różycki.

Pamiętanie.

Gdy wzrok przelotny w duszy swej rzucę głębinę,
Wydaje mi się nagle, że przetrwałem wieki.
Że kędyś w zawierusze lat zamierzchłych ginę
I jestem jakby sobie samemu daleki; 1805.

Żem staczał się po linjach śmierci i narodzin,
A w wędrówce tej ludzie mijali mnie różni
I różne były bicia wkrąg słonecznych godzin,
Niejedne zawisnięcia w zbłękitnionej próżni;

Że tysiące wydarzeń we mnie już się wikła,
Tworząc zwały pieniające, wiry kolorowe,
Którym moc jakaś wiecznie czujna i niezwykła
Nadała śpiewność trwania i tęsknoty mowę;

Żem nieraz już przemieniał imiona i godła,
Nad różnemi bezdniami czyniąc swoje warty,
A zawsze biała gwiazda po przez mrok mnie wiodła,
O czyjeś białe skrzydła zawsze byłem wsparty;

Żem w mknieniu już w niejedną wydłużał się wiosnę,
Rzuconą w bezmiar czasu, jak złotą legendę,
Że oto tak przez siebie rozkwitam i rosnę,
Swoje sny czarodziejskie ku wieczności przędę.

Ale nim się ofiara żywotów dokona,
Zanim w duszy blaskami trzykrotnie zadnieje,
W nieobjętą dalekość wieków zapatrzona,
Jeszcze nieraz w znak krzyża wypisze swe dzieje.

Stefan Grabiński.

Jak Myrjam odeszła.

Niewątpliwie najpiękniejszą kobietą w świętem mieście Proroka, Medynie, była Myrjam, córka Abdula, powróznika. A chociaż ubogą była dziewczyną i z konch jej uszu perłowych nie zwisały drogocenne kolce, a ramion cudnie krągłych nie stroiły złote wężownice—sława jej urody sięgała daleko poza krańce Arabistanu. Pieśni o niej składali wędrowni śpiewacy i przysłowiową się stała jej niezwykła krasa

— Pięknaś, jak Myrjam z Medyny — mówili młodzieńcy swym oblubienicom, gdy chcieli im pochlebić.

To też o względy dziewczicy zabiegali najdzielniejsi farysi kraju, dary składając bogate u stóp córki Abdula, obietnicami zaszczytów i beztroskiej doli usiłując skłonić ubożego powróznika, by jednemu z nich oddał Myrjamę za żonę. Lecz Abdul ojcem był i nie chciał niewolić swej córki, a serce dziewczicy jeszcze się nie obudziło. Dlatego ze smutkiem w duszach powracali dorodni zalotnicy od progu domostwa Myrjamy...

Lecz gdy powrócił z wyprawy wojennej w dalekiej krainie emir Ben Alkazar i przejeżdżając mimo studni na uznojonym rumaku, poprosił niewiasty czerpiące, by mu która podała wody, jako że spragniony był wielce—Myrjam pierwsza, drżącą od wzruszenia dłonią, przechyliła mu

dzban swój wysmukły ku ustom i patrząc spłoniona w twarz wojownika, wyszeptala nieśmiało:

— Allach z tobą, zwycięski emirzel! Bądź nam pozdrowion w domu ojców twoich i niech szczęście pokoju spłynie w twoją duszę.

— Zaprawdę — odpowiedział emir, pojąc oczy jej dziwną urodą — zaprawdę najpiękniejszą mi już Allach zgotował nagrodę za znoje bojowe, posyłając ciebie, cudna dziewczyno, na moje spotkanie.

I zeskoczywszy z konia, powiódł ją w dom ojca swego, szejka Ibn-Kadera, który, starym już będąc, z troską i niepokojem wielkim oczekiwał od dni wielu synowskiego powrotu.

— Oto moja przyszła żona, ojcie kochany; życzliwe losy wraz z synem przysłały ci w progi i synową miłą.

I uradował się w sercu Ibn-Kader sędziwy i pobłogosławił młodym.

Nazajutrz wszedł pod namiot szejkowy Abdul, powrótnik i powitany serdecznie przez starego wodza, zasiadł przy rodzinnem jego ognisku. I spaliwszy fajkę przyjaźni, wyznaczili ojcowie dzień, w którym Myrjam miała wejść w dom Alkazara, jako prawa małżonka; był nim wtóry dzień święta Bejramu...

Lecz gdy już wszystko było gotowe do świętego obrzędu i pełne skrzynie weselnych podarków, w wigilję dnia tak dla siebie ważnego miała Myrjam sen dziwny...

W noc jasną, gwiazdzistą, stała na placu jakimś, wysypanym drobnym, mialkim piaskiem. Meczet, który ze środka majdanu strzelał w niebo smukłą wieżycą, rzucał na piasek cień mocny i nasycony, bo była północ i księżyc świecił w zenicie. Dokoła była cisza ogromna i w śnie głębokim pogrążone miasto...

Wtem uchyliła się kotara u wejścia do meczetu i z wnętrza świątyni wyszła piękna, przepojona światłem postać, jakby człowieka—aniola i zaczęła zmierzać w stronę, gdzie stał dom powrótnika.

Zrozumiawszy, że tam zdąża gość niezwykły, wyszła mu Myrjam naprzeciw, by przyjąć go w połowie drogi, jak na córkę pana domu przystało.

— Kimkolwiek jesteś, gościu dostojny — pozdrowiła go głosem, co brzmiał jak fletnia—witaj u naszego proga! Bo wszak do nas spieszysz, gościu przejasny?

A piękny anioł uśmiechnął się do niej przez sen i wyciągając rękę na powitanie, odparł cicho:

— Zgadłaś, Myrjamo. Do ciebie idę, by spełnić to, co ci od wieków przeznaczone. Bo wiedzieć powinnaś, że jestem twoim losem.

Wtedy dziewczica skłoniła w milczeniu głowę, radując się, że Allach przeznaczył jej los tak piękny i jasny, i już chciała podać mu rękę i poprowadzić pod skrzydło ojcowskiego namiotu, gdy spostrzegła wylaniającą się z minaretu postać wtórą. Była nią kobieta jakaś stara i brzydka, w plugawych łachmanach, podparta kijem żebraczym. Szedł od tej dziadówki odór zabójczy, bo była trędowatą na całym ciecie.

Zdrętwiała z trwogi Myrjam i jak przykuta do miejsca śledziła ruchy nieszczęśliwej.

— Co to za kobieta i dlaczego wyszła z meczetu?— wyszeptala struchlałemi wargami—czyż Prorok nie zabronił wstępu do świątyni stworzeniom nieczystym?

A anioł, spojrzawszy jej przenikliwie w oczy, wyjaśnił ze smutkiem w głosie:

— Oto los tego, który jutro ma zostać twoim mężem. Oto idzie w dom Alkazara, by się na nim spełniły wyroki Przedwiecznego.

Okrzyk boleści wydarł się z piersi Myrjamy i puciwszy rękę młodzieńca, rzuciła się ku żebracze. I dognała ją w porę, nim jeszcze przestąpiła próg emira.

— W imię Allacha i Jego Proroka wstrzymaj się i wysłuchaj mnie!—załkała błagalnie, chyląc się ku stopom trędowatej.

Dziadówka spojrzała na nią wygnilemi od choroby oczyma. Na ustach sinych, trądem strawionych, zagrał okrutny uśmiech:

— Czego chcesz odemnie?

— Odejdź stąd! Odejdź! Zaklinam cię!

— Che, che, che! — zaśmiała się stara — Żądasz rzeczy niemożliwych. Nikt jeszcze na świecie nie wrócił mnie z drogi.

Wicher bólu miotnął ciałem Myrjamy i przygiął je ku ziemi... Nagle myśl szczególna, myśl, jedyna zaświtała w umęczonej duszy.

— A gdybym — zeszepiała, podnosząc na staruchę oczy łez pełne—a gdybym zechciała pomienić los swój za dolę ukochanego?

Zdumienie odbiło się na twarzy trędowatej.

— Zaprawdę — rzekła, zawracając od progu Alkazara — zaprawdę wielka jest miłość twoja, Myrjamo! Niechże się stanie podług woli twojej. Lecz pomnij na jeden warunek.

— Spełnię każdy.

— Nazajutrz opuścisz go na zawsze. Inaczej powrócę doń najbliższej nocy.

W opowiedź dziewczyna pochyliła nisko głowę.

— A teraz podaj mi rękę.

I wyciągnęła ku niej rękę jak piszczel i zaprowadzona przez Myrjamę weszła cicho pod namiot jej domu.

A anioł szczęścia, który był sądzony córce Abdula, rozminął się z nią w drodze i smutny podniósł skrzydło namiotu emira, by odtąd tam już zamieszkać...

Był już schyłek nocy i pobladły gwiazdy, gdy się sen Myrjamy przesilił i wysnił do końca. Przebudzona pieśnią poranną muezina, zarzuciła na twarz zaslonę i ucałowawszy w czoło śpiącego ojca, opuściła namiot.

Szła szybko, omijając domy, by nie budzić podejrzeń ciekawych. Po drodze, przechodząc mimo sad jakiś umajony wiosenną urodą, ułamała rozkwitłą gałąź jabłoni i poszła dalej...

Nagle serce jej zabiło na widok domostwa emira. Chciała skrócić w boczną ulicę i odejść bez pożegnania lecz sił nie znalazła. Więc ukradkiem zajrzała w głąb.

Kotara u wejścia była odchylna i przez otwór spostrzegła ukochanego w śnie głębokim. Na ustach emira błąkał się uśmiech szczęścia. Śnił pewnie o niej i o dniu dzisiejszym...

Długą, długą chwilę syciła oczy jego widokiem, a gdy już lży wzrok przyćmiły i patrzeć dłużej nie mogła, rzuciła na pierś śpiącego gałązkę jabłoni i odeszła.

A był już na świecie poranek i ptactwo, strzepnąwszy rosę ze skrzydełek, witało ziemię radosnym namazem.

Myrjam wyszła na gościniec, co białą, pylną wstęgą mknął hen na wschód w stronę złotej pustyni. A gdy już minęła ostatnie domy, minęła bramy miastowe i wielką cysternę przydrożną, przy pierwszym kamieniu milowym wyszła jej na spotkanie rzesza trędowatych wygnanych z Medyny. Wtedy zrozumiawszy w tym znaku tajemniczą wolę, przyłączyła się do nich, by wychylić do dna kielich przeznaczony.

Leo Belmont.

Z teki niedrukowanych utworów.

„Bene vixit qui bene latuit”

(*Myśl Kartezjusza*).

„Ten dobrze żywot przeżył,
Który się dobrze skrył” —
Kto bóstwom tłumy wierzył,
Ten sercem stale gnił...
Kto w pustej wrzawie świata
Roztrwonił nadmiar sił,
Kto z ciszą się nie zbrata,
Ten źle zaprawdę żył!...

Kto w próżny laur się stroi,
Kto pragnie chwalczych trąb,
Ten w własnej duszy swojej
Nie zstąpił nigdy głęb!...
Przed ludzkich świątyń progiem
Kto wciąż pokłony bił,
Sam na sam nie był z Bogiem,—
Ten źle zaprawdę żył!...

Kto nie chciał sławy szczudeł,
Kto się jak robak wił,

Gdy w męce z myśli źródeł
Poznania gorycz pił, —
Kto się samotnie zwierzył,
Gdy grom mu w serce bił —
Ten dobrze żywot przeżył,
Bowiem się dobrze skrył!

Leo Belmont.

Do napotkanej przypadkiem.

A kiedy patrzę w Pani piękne oczy,
Zagadka dziwna moje serce tłoczy,
Czy ten, co bliskim jest Twojego tchu,
Czy ten, co kocha Twoje piękne oczy, —
Daje Ci zażyć choćby chwilę snu?

Bo gdybym ja miał zbliżone takie oczy,
To bym dla Pani okrutnikiem był,
Sen bym Ci przerwał najbardziej uroczy,
Bo ani chwili, gdy się przymkną oczy
I blask swój skryją — znieść bym nie miał sił.

Choć zachód cudnie krwią słoneczną broczy,
Choć świat się perli, srebrzy gwiezdna noc,
Ja każdej chwili patrzyłbym w Twe oczy,
Bo blask ich słodszy i bardziej uroczy
I gwiazd i słońca zaćmił dla mnie moc.

W Twe aksamitne, w Twoje piękne oczy
Wpatrzony, czerpałbym rozkoszy moc,
Sen bym Ci przerwał najbardziej uroczy,
Ażeby tylko patrzeć w Twoje oczy,
Czy świt na niebie, czy na świecie noc.

A chociaż nudą taki zachwyty tłoczy
I jest nieznośny tak natrętny widz,
Sen bym Ci przerwał najbardziej uroczy,
By Ci powiedzieć, że masz piękne oczy
I nie powiedzieć nad to więcej nic.

Oto mój wagon po szynach się toczy...
Przed chwilą lśniły tutaj piękne oczy,
Ale je zabrał wnet odmienny szlak,
Lecz we wspomnieniu został ślad uroczy
I kładzie rymem hołdowniczy znak

Wiem, że przedemną Śmierć już blisko kroczy
I pójdę za nią chętnie w tajną dal,
Lecz, że na ziemi są tak piękne oczy,
Co sięją w sercach zachwyty tak uroczy,
Za grobem będzie mi tej ziemi żal!

Jan Czempirski.

Vivian Dollar w Warszawie.

Gdy Vivian Dollar przybył do Warszawy sprawiło to niesłychaną sensację. 1800

O majątku jego krążyły iście fantastyczne opowieści. Miał własne lasy i fermy, własne jeziora i kopalnie, własne pałace, własne yachty, własne pociągi, kilkaset samochodów, kilkanaście aeroplanów luksusowych z kuchniami, sypialniami i łazienkami. Zmieniał 9 razy żony, olśniewając wszystkie, z którymi się rozchodził, bajecznymi odszkodowaniami.

Na Polskę rzucił przed kilku laty olbrzymie sumy, gdy zbierano dary na głodnych. Później dostarczał na kredyt parowozy, buty, aeroplany, tłuszcz świński i małpi, demobil, mąkę, łosia puszkowego, koce, marmolady, papierosy. Zrobił na tem kolosalny interes.

W trzy dni po przybyciu do Warszawy sekretarz miliardera otrzymał 769 podań od instytucyj o zapomogi, 912 propozycyj pożyczek i 148.525 zgłoszeń o pomoc od osób prywatnych. Prezesa i członkowie 27 stronnictw, zbawiających Polskę, prosili o większe zapomogi na najważniejsze cele partyjne, nadto 112 pań delegatek proponowało świetny interes w postaci biletów na loterie fantowe, na których można wygrać samochód, wieprza, lub gęś tuczona. Sekretarz miliardera musiał 56 razy

grzecznie tłumaczyć 112 delegatkom, iż Vivian Dollar bez pomocy loterji posiada 360 samochodów własnych.

Wywołało to szmer oburzenia. Nazwano go gburem i skąpcem. Sekretarz zaś miliardera obliczył, iż gdyby Vivian Dollar zechciał zaspokoić wszystkie zgłoszenia musiałby oddać cały swój majątek i zaciągnąć pożyczkę od kolegów po kieszeni i portfelu.

Rozeszła się jednak wieść, iż Vivian Dollar przyjechał z misją. Jakiś wielki dar narodowy... dla kogo — nie wiadano.

W pierwszych dniach pobytu składał miliardera wizyty, odbywał konferencje, zwiedzał miasto.

Kazał się zawieść przed pomnik wdzięczności dla Ameryki. Obejrzał pomnik ze wszystkich stron, kręcił głową, poczem zaopiniował:

— No tak... Jeśli to ma być pomnik wdzięczności — to wasza wdzięczność wyraża się w bardzo brzydkiej formie.

Pewnego dnia kilkaset osób otrzymało zaproszenia na meeting, zwołany przez miliardera dla wysłuchania ważnej deklaracji.

Oczywiście przybyli wszyscy, jak jeden mąż i jedna żona. Zaciekawienie było tak silne, iż ludzie łamali sobie palce w stawach, palili mnóstwo papierosów i ponuro spoglądali na siebie. Zebrali się ludzie wszystkich obozów, ugrupowań, stronnictw, frakcji, stanów, wyznań, przekonaniań, tudzież zgola bez przekonaniań. Kilka osób oświadczyło, iż taki miliardera urządzi bufet, który zaćmi wszystkie bufety całego globu.

Ścisłe o godzinie umówionej na mównicy stanął Vivian Dollar. Wywołało to zdziwienie; w Warszawie bowiem nie wolno rozpoczynać obrad punktualnie. Trzeba się liczyć i z tymi, co, nic nie robiąc, nie mogą nigdy

i nigdzie na czas zdążyć. Był to wielki brak kurtuazji dla ustalonych tradycji i obyczajów.

Mówił Vivian Dollar po angielsku, a po nim tłumacz po polsku.

Więc o przyjaźni dawnej i trwałej. Że bardzo lubi Polskę w Ameryce, kto jej nie zna. Że jako prezes i członek Zarządu wielu trustów upoważniony jest do realnego aktu wdzięczności... (na sali szmer przyjaznego zdziwienia. Przedstawiciele kilku klubów postanawiają ponownie zainterpelować miliardera o większe zapomogi ua cele stronnictwa).

Otóż wzniosła Polska Ameryce pomnik wdzięczności... Bóg zapłać... Pięknie mówi przysłowie polskie o zębach darowanego konia... Vivian Dollar chce również obdarować stolicę Polski pomnikiem chwały. Ameryka pokryje wszelkie koszty — proszę się nie krępować. Wezwijcie najpierwszych artystów... marmur i bronz... granit i malachit — co chcecie...

Burza oklasków. Poczem Vivian Dollar ciągnął:

— Nie chcemy wam nic narzucać. Są tu w tej sali wszyscy — kwiat narodu. Otóż proszę wybrać, komu pomnik postawić. Wybierajcie najgodniejszego... wybierajcie męża, któremu sławna i piękna wasza ojczyzna najwięcej w dobie wyzwolenia zawdzięcza. Rzucajcie nazwiska i głosujcie, lub wybierzcie jednogłośnie.

Milczenie...

— Pomogę Panom — mówił Vivian Dollar. — Macie świetną armję. Wybierzcie kogo z jej wodzów... Proszę o nazwisko.

Z oczu padły błyski. Zaciskały się pięści. W kilku rękach zabłyśły rewolwery i kastety.

Vivian Dollar zaproponował:

— Panowie i panie zapewne chcą się porozumieć. Tu jest duża sala obok. Zarządzam przerwę na pół godziny. Proszę się naradzić...

Goście powoli przeszli do sali.

Vivian Dollar zapalił fajkę i odpoczywał. Słyszał, jak początkowo rozwijał się szmer głosów, jakby szumiał las w dżunglach... Później głos ten przypominał głosy fal morskich, gdy się z oddala ku morzu zbliżają... Szum łagodny zwiększa się stopniowo, potężnieje, uderza z łoskotem o skały... I — jak podczas burzy — łoskot i ryk fal, smaganych przez wicher, rozdzielanych przez gromy...

Tak potężniały głosy w sali narad. Rozlegały się coraz silniejsze krzyki... padło kilka strzałów... znów jakieś głosy, krzyki, płacz kobiet...

Vivian Dollar z uśmiechem palił fajkę. Przypominał sobie rodzinny Meksyk, który tak kochał.

Do sali wbiegł gentelman z podbitym okiem, z zerwaną koszulą i kołnierzykiem i z rozdartą przez plecy marynarką...

— Mister wybaczy... — oświadczył. — Drobne nieporozumienie domowe. Muszę wezwać Pogotowie...

Pobiegł na kurytarz, skąd było słyhać, jak mówił ze stacją:

— Ze dwie karetki. Jest kilkunastu rannych... Proszę tak urządzić, żeby karetki zostały do końca obrad, bo mogą być dalsze nieporozumienia... Co? Ależ nie do Sejmu... Na zebranie prywatne, towarzyskie... Adres.

Gdy minęło pół godziny Vivian Dollar, jak urodzony gentelman, posłał sekretarza, by się dowiedzieć, czy można zaczynać. Ranni byli już opatrzeni. Rany nie były groźne. Jednego tylko obywatela musiano odwieźć do szpitala. Inny przeprosił, iż nie będzie siedział, gdyż dostał postrzał tak niezręcznie, że musi stać.

Vivian Dollar oświadczył:

— Z rozrzewnieniem słuchałem waszych obrad. Ma przyszłość naród, który posiada tyle temperamentu. Ale czemu wy tak mało uprawiacie boks. To ogromnie upraszcza dialektykę polityczną. Rewolwery są dobre, owszem, ale już jako ostatni wyraz, gdy boksu nie można stosować. Boks świetnie przemawia do przekonania, dopiero, gdy ktoś jest takim jolopem partyjnym, że mu nawet boks nie pomoże, można mu kilka kul wpakować. Sprowadźcie sobie koniecznie naszych genialnych bokserów i od ich przyjazdu rozpocznie się nowa era w waszej wewnętrznej polityce. A teraz proszę niech wasz speaker wymieni to nazwisko, któreście obrali...

Z sali odezwał się głos:

— Nie można ustalić takiego nazwiska...

— Ach. Nie szkodzi... nie szkodzi. Przejdźmy do dziedziny polityki. Będzie może łatwiejsze porozumienie. Otóż kto z waszych mężów stanu — kierowników państwa, czy szefów gabinetów — najwięcej zasłużył się przy budowie ojczyzny... Jemu postawimy pomnik...

Szept zrazu cichy. Później kłątwy i wymysły. Znów zabłysły rewolwery... Wrzawa rosła...

Vivian Dollar dzwonił.

— Ladies and gentelmans... Proszę o chwilę pokoju. Porozumiemy się. Jeśli dziedzina polityki wewnętrznej również nie pozwala na porozumienie, pójdziemy dalej. Proszę wybrać pisarza, poetę, czy filozofa, który w ostatnich latach najwięcej się przy budowie ojczyzny zasłużył? Zgodnie, panowie i panie, a dojdziemy do celu..

Ponownie szept przeszedł we wrzenie, poryki. Pięści podniosły się w górę. Ktoś bił kogoś wprawnie po twarzy.

Vivian Dollar zwrócił się do sekretarza.

— Chciałbym jednak wypełnić misję. Czyż niema osoby, na którąby się wszyscy tu zgodzili bez pięści i rewolwerów? Proszę, spytaj pan poufnie kogo z osób starszych, doświadczonych...

Sekretarz poszedł w głąb sali. Uchyliwszy się kilkakroć przed ciosem, odciągnął na bok jakiegoś starszego pana, z którym chwilę konferował. Gdy wrócił, miljarder zapytał:

— No? Usłyszał pan nazwisko, na któreby się mogli tu wszyscy zgodzić?

— Owszem.

— Kto to? Jenerał, dyplomata, uczoney, pisarz, wy-nalazca?

— Nie.

— Więc któż?

— Messalówna...

Wacław Rogowicz.

Ballada o włosach Bereniki.

z tragikomedji „Dalila”.

Gdy Ptolomeusz, Egipski król,
Na krwawą wyruszał wojnę —
Piers Bereniki przeszywał ból,
Choć lica miała spokojne.

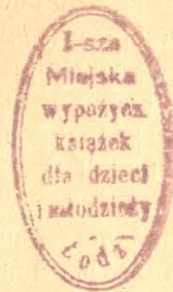
Złej wróżby pełen zamącił sen
Ostatnią nockę królowej:
Że małżonkowi jej grozi plen,
Gdy w wir się rzuci bojowy.

Żądna odwrócić tak srogi los
Wielką ofiarą bogini,
Z nad podziw pięknych swych kruczych kos
Izydzie ofiarę czyni.

Na ołtarz składa urody czar
I czeka precz zmiłowania. —
Zdrów wrócił król. Ofiarny ten dar
Nie zgasił w mężu kochania.

. ,

Ozyrys, by nie zanikła wieść
O Bereniki cnej włosach,
Miłości w gwiazdach oddając cześć,
Zawiesił je na niebosach. *)



*) Konstelacja „Włosy Bereniki” tak, według legendy egipskiej, powstała.

Eustachy Czekalski.

Hymn o Warszawie.

„I ja błądziłem po zaułkach starego Rzymu. Wałęsałem się po londyńskich parkach. Nasłuchiwałem podszeptów współczesności w Paryżu. Pogwizdywałem lekkomyślnie piosenkę przedwojennego Wiednia. Lecz kimże i czemże tam byłem? Przechodniem i tylko przechodniem. Byłem nim też i na ulicach bogatego Amsterdamu, czystej Hagi, uczonej Leydy. Dopiero w twoich progach, Warszawo, miasto matczyne, rosły mi skrzydła, grało mi serce, jak organy. Tu wśród twoich zaułków stawałem się wszystkim. Byłem w kamieniu chodnika, czułem swoją obecność w starym murze świątyni, błądziłem z gołębiami po mansardach staromiejskich i dachach Woli czy Pragi. Z oddali i zbliska widziałem twoje piękno, rosła mi w duszy dostojność, czarowała królewska wyniosłość. I jak zakłęcie zyciodajne a święte wymawiałem twe imię. Pieściłem wspomnienie każde, modliłem się do lat dzieciństwa, spędzonych wśród omszałych dostojnych murów Starego Miasta. Czemże są te dalekie zimne, może nawet i piękne mury — wobec wyzłoconych słońcem, wysrebrzonych śniegiem, wyróżwionych jutrzeńką zmierzchu ścian Zamku czy Łazienek. Nie oddałbym za nic, za żadne skarby świata dumnej wizji Żółkiewskiego, prowadzącego do stóp pańskich upokorzonych carów? W oczach moich rośnie cwał koni ko-

zackich, napierających przed szpitalem Św. Rocha na bezbronny tłum. A oto jestem na placu Działyńskich: nowa powieść sercu bliska, tajemna, szkarłatna krwią dziadów.

Gdy zabrzmiały poranne sygnaturki dzwonów — słyszę, jak biją w mej piersi echa miliona tętnic serc praojców, ojców i tych którzy znów jak ja ujrzą w tym mieście jedynym i świętym światło słońca.

Kto śmie mówić o twojem brudzie, Warszawo?! Myła cię krew moich braci, co kładli głowy w obronie twego honoru i dumy. Płukały wielokrotnie łzy matek, wyczekujących pod więzzeniami. Szorowały opuchnięte, spracowane nogi skazańców pędzonych w dalekie śnieżne tajgi.

I kładę swe ucho na rozkislej, zakurzonej jezdni: o radości nieziemskiej, słyszę tętent skrzydlatej jazdy, przelewa mi się pobrzęk artylerji, rośnie gloria miarowego, rytmicznego marszu pokoleń.

Gdy stanę u mostu Kierbedzia i ujrzę dalekie dymy ścielące się na polu Grochowskim z kominów fabrycznych praskich — przeżywam poemat zaślubin dni starych z pod Olszynki z tem, co jest, co tworzy bogactwo Rzeczypospolitej.

Warszawo! Matko, piastunko, kochanko — spowita w gronostajowe płaszcze dnia i nocy, wyzłocona słońcem wolności, jak Cię nie sławić, jak Cię nie ubóstwiać, jak nie opiewać!

Przechodzień bez serca widzi tylko twoje ścieki. Gorszy się nieporządkiem, jakgdyby w Hadze panował ład i tylko ład. Powojenny cham zachwycą się betonową czystością i stać go na to. Nałupił się na pobojowiskach, nahandlował życiem i honorem. Komivojażer wygody, niezwiązany z tradycją, przebiegający miasta Europy

spotwarza rany święte, kochane. Czyż p ojąć jest w stanie, iż każdy obdrapany mur, każda dziurawa jezdnia, każdy urwisty strup pobrzeża rzeczno-ego — to stacja naszej Kalwarji, prowadzącej ku słońcu? Nikt nie zrozumie twego piękna, Warszawo, kto nie jest twoim synem!

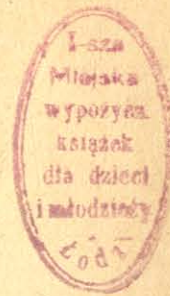
Jesteś stolicą wielkiego państwa, jesteś sercem bohater-skiego narodu, jesteś mózgiem wszystkich racji i nieracji polskiego stanu—to byłby ten najprostszy, naj-oczywistszy, powód dla szacunku i sławy. Powód słuszny i przekonujący, bo mnożący się przez trzydzieści milionów istnień ludzkich, gotowych na twoje skinienie na śmierć i ciężką, wytrwałą znojną pracę dla twego imienia. Ale są racje i takie, które wymykają się z pod definicji słów, z pod kłam-ner nazw...

Czy widziałeś w noc listopadową gołe konary drzew ła-zienkowskich, zastygłe w majestacie, a osrebrzone białym szronem? Czy spostrzegłeś, jak na wiosnę pękają olbrzymie, stare kasztany przed pałacem prymasowskim? Czy byłeś na Bielanych i tuliłeś się do rozkwitłych, kró-lewskich liści bzu w dzień zesłania Ducha Świętego?

Jeżeli nie oddychałeś zapachami szarej Wisły, jeżeli nie kapałeś się w potokach słońca lipcowego na wiryda-razach placów warszawskich, jeżeli nie błądziłeś po księ-życu w ciemnych, uroczych zaułkach ulic. — Co wiesz o Warszawie, jak śmiesz o niej mówić!

A jeżeli w cieniu jakiegoś krzaku Agrykoli nie zostało zbudzone miłością twoje serce młode, nadziei pełne, światotwórcze, wdzięczne za pocałunki soczyste, kradzione ustom dziewczęcym — cóż cię łączyć może z tym miastem, jak pieśń poety, jak rapsod rycerza?

Nic nie może cię obedrzeć z uroku, Warszawo! Twój płaszcz jest godniejszy od starych purpur Madrytu, nasiąkłych krwią ludów podzwrotnikowych!



Tadeusz Kończyc.

List.

Nie posyłam Ci kwiatów ...

będzie ich tam tyle, 189

Że moje — zapomniane — uwiedłyby może ...
Tylko, jako wspomnienie — co rok, w jednej porze...
Rzucam ten list — posępny, jak kwiat na mogile ...
I życzę ...

czegoż życzyć? Chyba tylko siły
Wytrwania w tem, co duszę beznadziejnie rani...
Sam — nie umiałem znaleźć spokojnej przystani,
Lecz zmogłem się, choć w serce moje gromy biły...

Gdy cię ból samotności zbyt mocno przygniecie,
Pomyśl, że są od ciebie nieszczęśliwsi — inni...
Może ta myśl — w Twych oczach i mnie uniewinni
I przekona, że nazbyt złym nie byłem przecie ...

Nie sądzone snadź było nam znaleźć na ziemi
To, co szczęściem bez granic nazywają ludzie...
Ty — trwasz w życia bezmyślnej, męczącej obłudzie,
Moje miejsce — jak zawsze — pomiędzy smutnemi.

I, choć gorycz ci serce samotne oświeci,
I lzy wyciśnie, które mój duch tak rozumie ...
Pomyśl, że żyjesz zawsze w mej pieśni pokucie,

I chociaż w innym kształcie trwasz w mojej pamięci,
I wiedz, że jest w mem sercu gorzka tajemnica,
Co mi nigdy tu szczęścia zaznać nie pozwoli,
Że śmierć tylko położy kres mojej niedoli,
Choć — może jest gdzieś dla mnie upojeń krynica...

Daleka — idź mężnie, podążać swoją drogą...
Cóż życie? pustka wielka i smutek bez granic...
Wszystkie ludzkie pragnienia nie złożą się na nic...
Chociażby przepotężne były — nic nie mogą.

Nie sądz, że los połamał życie tylko tobie,
I z moich pragnień żadne tu się nie spełniło...
I pośród świata gwaru — w każdej życia dobie
Pozostanę, czem znałaś mnie kiedyś — mogiła.

Emilja Sukertowa.

Z mazurskich lech i strzech.

Ze spuszczoną na piersi głową, z obwisłymi ramionami, uginający się pod brzemieniem trosk, szedł August Kowalski. Przy jego boku dreptało drobne, płowo-włose pacholę, o wystraszonych smutnych oczach i bladej twarzy.

Minęli już domki Dąbrówna. Pociemniałe ze starości, niegdyś czerwienne dachy i wieże miasteczka odbijały się w przezroczych wodach dwóch prawie przylegających do siebie jezior, obramienionych wzgórzami, przysłoniętych, niby złocisto-błękitnymi kilimami, lanami falujących zbóż.

Drogę, wiodącą z dawnego krzyżackiego grodziszczka ku południowi, ocieniały niezwykłych rozmiarów i objętości białopienne brzozy. Była to droga historyczna: tędy przed wiekami ciągnęła ćma rycerstwa Jagiellowego, od stóp do głów zakutego w stalowe pancerze, z kołyszącymi się u hełmów pióropuszcami, z modlitwą na ustach, z ufnością w sercach — z pod wsi Wysokiej pod Grunwald — na zwycięski bój...

Kowalski co chwila oglądał się na wszystkie strony czy kto nie podsluchuje, a potem szeptem prawie przemawiał do małego Jasia... Ba, nic dziwnego, że obawiał się głośno odezwać do wnuka, boć przecie nie dalej jak wczoraj był świadkiem, jak „Stosstrupperzy” skatowali pew-

ną młodą białkę zato, że ze swą kilkoletnią córeczką po mazursku gadala.

Cisza panowała. Od czasu do czasu jeno przedwieczorny wiatr zaszeleścił wśród listowia brzóz... O, ten szelest drzew mazurskich, jakież tęskny, złowieszczy, pełen tajemnic i zgrozy!...

Kowalski zboczył z gościńca, skierował się ku miedzy, wiodącej pomiędzy łanami żyta, którego kłosa uginały się pod ciężarem oplatających je pnączy rozkwitłej wyki. Starzec odetchnął z ulgą, a popatrzawszy wkoło siebie, jął śpiewać starą rodzimą, ukochaną, przez Mazurów pieśń żniw:

„Pola już białe, kłosa się kłaniają
Stworzycielowi cześć i chwałę dają...

Przystanął. Tam, za polską granicą, leży wioska, gdzie ujrział światło dzienne, gdzie od setek lat rodzili się i umierali ojce jego i dziady.

Wej, tak blisko do starej ojców chaty — cóż, kiedy „zielony“ stoi na warcie i nie puszcza...

Kowalski przygarnął wnuczka:

— Jasiu, chcesz pójść tam, gdzie cię bić nie będą za mazurską gadkę twoją?...

Chłopiec przytulił płonąca główkę do piersi dziadka.

Wieczór zapadał, po nad zasypiającem jeziorem Szczuplińskim zawisły blade mgły, a nad niem jaśniał sierp miesięczny...

Wartownikowi niemieckiemu sprzykrzyło stę stać na miejscu, zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku, wzdłuż linii granicznej.

— Pójdźmy, Jasiu, tam przodków naszych lecha i strzecha, tam serca w piersiach nie wystygły...

I padłszy na ziemie, czołgać się począł, ciągnąc za sobą malca, ku miedzy granicznej, ku Polsce...

Róża Czekańska-Heymanowa.

Przyptyw.

Morze, zielone i złe, jak trucizna,
toczy z oddali niespokojną pianę.
Na horyzoncie, jak szeroka blizna,
widnieją wody grzywy rozczochrane.

Długie jęzory fal w pierwszym szeregu
liżą już drobne, orzechowe skały,
co się różańcem garbów rozsypały
morzu naprzeciw, daleko od brzegu.

Śmieszna przeszkoda, — bo niemasz przeszkody
dla fali śmigłej, fali, jak wiatr hyżej!
Bryzną raz, drugi kędzierzawe wody...
już przeskoczyły, spójrz, już suną bliżej!

Wnet słony oddech moją twarz opyli, —
i choć się cofnę wstecz przed siłą tchnienia,
wiem, że dogoni mnie po małej chwili
z żelazną, ślepą siłą przeznaczenia.

Hajota.

Niegościnnie poeta.

(Bajka)

Poeta, nie młody, ale jeszcze nie stary, siedział przy kominku, otulony w aksamitny, jedwabiem haftowany, szlafrok, w ciepłej czapeczce na przeredzonych mocno włosach, albo raczej, mówiąc bez ogródek, na łysinie zgoła prozaicznej i w zamyśleniu popijał wino grzane ze srebnego kubka.

Noc była wietrzna i krupki śniegu dzwoniły delikatnie o kryształowe szyby wysokich, szczelnie watą obetkanych okien a ich metaliczny dźwięk przedzierał się słabo przez miękkie, grube, zwieszające się ze złożonych prętów draperje.

Grudzień srożył się na dworze, ale w wygodnym i bogato urządzonym gabinecie poety ciepło było i przytulnie. On jednak kurczył się trochę i zwieszał głowę na piersi, pogrążony w smutnych rozpamiętywaniach... Przypominały mu się podobne noce, dawno temu, kiedy mieszkał na facjatce... Jedna szyba w okienku była wybita i zaklejona papierem... Hej! Mocny Boże! jak to wiatr szarpał starą spruchniałą ramą, i gwizdał w kominie, na którym tak rzadko się paliło!... A on siedział przy kulowym stoliku, w starej kurtce o dziurawych łokciach, chuchał w zziębnięte palce i wnet puszczał je w ruch po papierze.

A z pod pióra wytryskiwały mu słowa płomienne i szły pomiędzy ludzi, niosąc im czar wiosny, woń kwiatów i uśmiechy szczęścia, chociaż ich twórca często bywał głodny. Nachodziły go wprawdzie chwile wątplenia, w których myślał z goryczą, że ubóstwo podcina mu skrzydła i że innemi byłyby jego loty, gdyby zamiast wśród nagich ścian poddasza danem mu było rozwinąć je na łonie cudnej natury i wspaniałych dzieł sztuki. Zapewne miał słuszość.

To też gdy pierwszy tomik jego poezji nadspodziewanie przyniósł mu rozgłos i co jeszcze osobliwsze trochę grosza, poeta rzucił facjatkę i pojechał do Włoch, po których podróżował jak tylko artysta z lekką kieszenią i głową ciężką od twórczych myśli podróżować może... I tworzył...

A potem uśmiechnęła mu się fortuna. Daleki krewny zapisał mu znaczny majątek, on zaś podwoił go wcale praktycznie posagiem bogatej jedynaczki fabrykanta skórzanych wyrobów, która, rozkochawszy się w erotykach, chociaż nie do niej pisanych, oddała mu swą o tyle pulchną, o ile nie rasową rączkę.

Jednym słowem życie ułożyło mu się jak w bajce. Ale, dziwna rzecz! Skrzydła natchnienia zamiast potęgnić kurczyły się jakoś i ciążyły u ramion. A przecież nie miał żadnych kłopotów odżywiał się tak znakomicie, że aż mu groziło otłuszczenie serca musiano go codziennie masować. Czasami jednak budził się z odrętwienia i porywały go trwożne niepokoje, tak dobrze mu niegdyś znane.

Dziś właśnie miał taki dzień i dlatego zamknąwszy się w gabinecie zapowiedział, żeby mu nie przeszkadzano, a sam, siedząc przy kominku, czekał aż nakaż wyższy włoży mu pióro do ręki... Ale napróżno. Może mu było za ciepło, za wygodnie... Może zjadł zbyt obfity kolację...

Wtem, gdy już poraz szósty czy siódmy zasiadł przy

swojem wspaniałem, rzeźbionem biurku usłyszał lekkie pukanie do drzwi balkonowych wychodzących na ogród — zbliżył się i uchylił portjerę.

Kto tam? — zapytał dość szorstko.

— Ach! wpuść mnie, dobry poeto — ozwał się chłopięcy głosik. — Tak mi zimno, i dostać się do ciebie nie mogę. Wpuść mnie, bo chyba tu zmarznę.

Poeta wyrzał przez okno i zobaczył nagiego chłopczyka, skulonego pod drzwiami. Sliczne skrzydelka trzęsły mu się u drobnych ramionek.

— Ach! — rzekł poeta — to ty zapewne jesteś Amor. Nie sądz, żebym był tak naiwny, jak ten stary mój kolega z bajki Andersena, który cię wpuścił i ogrzał, a tyś mu przez wdzięczność przeszył serce strzałą. Nie! Nie! Idź w swoją drogę. Wcale Cię już nie potrzebuję.

— Nie jestem Amorem, chociaż bardzo często chodzimy w parze — odpowiedział chłopczyk. — Ale on bywa płochy i psotny — a ja, nietylko nie wyrządę ci żadnej krzywdy, lecz szczęściem napelnię całe twoje jestestwo. Tylko mnie wpuść. Dawniej bywałeś gościnniejszym. Dusza twoja stała dla mnie otworem.

— Co za brednie! — rzekł poeta, wruszając ramionami. — Nie przypominam sobie podobnych konfidencyj. Gotów jestem pomyśleć, że to bandyci nasłali cię, abysz przepatrzył kąty.

— Ja! wysłańcem bandytów! — wykrzyknął chłopczyk z bólem i ze zgrozą. — A moje skrzydła!... Czy nie widzisz, że jestem uskrzydłony.

— Et! o nic łatwiej niż o sztuczne skrzydła w dzisiejszych czasach udoskonalonych protez — odparł poeta pogardliwie — chytróść i przemyślność bandytów niema dziś granic. Zresztą, tak czy inaczej nie wpuszczę cię. Rozumiesz? Przeszkadzasz mi i psujesz natchnienie...

— Ja ci psuję natchnienie? Ja? O! ślepył ślepy! ślepy! — jęknął chłopczyk.

Ale poeta nie słuchał. Spuścił ciężką portjerę i wrócił do biurka.

Męczył się jednak napróżno. Nurtował w nim jakiś szczególnie niepokój. Raz poraz spoglądał ku osłoniętym portjerą drzwiom balkonowym. Ale tam panowała głęboka cisza.

Tak zbiegła noc. Nad ranem poeta, ulegając nieprzeparłej jakiejś ciekawości, poszedł do drzwi i otworzył je. Pęd mroźnego powietrza wpadł do ogrzanego wnętrza i zakoił się płomieniem lampy... Na progu leżał nagi chłopczyk bez życia.

Poeta był litościwy z natury. Szybko porwał martwe dziecko na ręce i złożony na miękiej otomanie zaczął rozcierać jego zeszywniałe członki... Po długiej chwili ciche westnienie uleciało z drobnej piersi, skrzydelka zatrzepotały leciuchno, a błękitne, jak niebo, oczęta utonęły w twarzy poety z wyrazem takiego bezbrzeżnego wyrzutu i żalu, że serce tamtego ścisnęło się jakimś niepojętym bólem.

— Biedne dziecko! — zawołał — widzę teraz jak okrutnie postąpiłem z tobą. Ale ja cię uratuję! Masz! napij się trochę.

I przytknął srebrny kubek do zsiniałych ustek.

— Zapóźno — wyszeptał nagusek — zapóźno!...

Z poetą działo się coś dziwnego. Ogarnęła go prawie rozpacz.

Ten biedny dzieciak, którego przed kilku godzinami tak nielitościwie odpędził od swoich drzwi, stał mu się nagle droższym niż wszystko na świecie.

— Ach! nie mów tak — zawołał — nie mów! Teraz, gdy ci się przyglądam, rysy twoje wydają mi się

zdawna znajome... Na Boga! kto jesteś? Powiedz!
Umierający chłopczyk przeciągł spojrzeniem ogar-
nął bladą twarz pochylonego nad nim poety!
— Ja jestem — twoje natchnienie! szepnął.
I skonał.
Odtąd poeta nie napisał już ani jednego wiersza.

I. K. Młakowicz.

Kołysanka

Łódeczka, zawieszona pomiędzy lipą a domem,
chwieje się chwianiem słodkim, chwieje się wianiem
[ruchomem,
jeden ma żagiel od miesiąca perłowy,
kwietnej piany lipowej pełna jest do połowy.

Bezpieczną ją powiewy otaczają opieką,
mięko pieszczą i pieszcząc do mielizn ciepłych wleka,
i pieje jej cienkiem pieniem pijany miodem świerszcz
[lepki,
pieśń nieustannie pieściwą, jak niańki śpiew u kolebki.

Zofja Rygier - Natkowska.

Z Cyklu: **Charaktery.**
Justyn albo Dobre pozory.

Gdy Justyn mówi, wszyscy chętnie go słuchają. Opowiadając bowiem jakieś zdarzenie, ujmuje je w ten sposób, że niejako bez jego udziału i chęci staje się zabawne.

Jeżeli żartuje, pobudza innych do wesołości — i nikt nie ma doń żalu, nawet gdy zdarzy mu się, że jest złośliwy. Jego żart nie oszczędza bliźnich, ani jego samego. Ale kierując się wrodzonym taktem, Justyn nie urazi nikogo, umie dobierać słów powściągliwych i dyskretnych, a zarazem iskrzących się finezją dobrego dowcipu. Mierzy celnie, ośmieszając zwłaszcza niewinną próżność, zbytek dobrej wiary, naiwność uczuć, skłonnych do przesady i łatwowiernych.

Tak ma się rzecz, póki Justyn jest wesoły i żartuje. Niechaj ci się jednak zdarzy obudzić w nim nagłą sympatię i zaufanie, sprawa inny przybiera obrót. Justyn poważnieje, szuka okazji do samotnej z tobą rozmowy i wreszcie wyznaje poufnie, że pociąga go ku tobie powinowactwo dusz, które oto niemylnie wyczuł właściwą sobie w tych razach intuicją.

Ogarnięty sentymentem, wiedziony potrzebą zwierzeń, Justyn staje się w tej nagłej szczerości nieopanowany, niezaradny, naiwny. Mówi naprzykład, że nie dba zgola o ludzką opinię, że cóż to go może obchodzić, co sobie

kto o nim myśli. Zaraz jednak przytacza zasłyszane niepochlebne jakieś sądy o sobie i — uprzedzając wszelką mogącą powstać wątpliwość — żywo wypiera się zgryzoty, jaką mu sprawiają. Cieszy się natomiast dowodami powodzenia czy uznania tak znikomemi, że obudzają raczej politowanie. Wtedy zapala się i mówi o swych tajemnych marzeniach, o żywionej nadziei, że przyjdzie czas, gdy zawistni poznają swój błąd, gdy nieżyczliwi zrozumieją, z kim mieli do czynienia,

Ze słów Justyna widać rzecz zadziwiającą: że zależy mu mianowicie na ludziach, nad którymi w towarzystwie niewątpliwą ma przewagę, — tych samych, których nieraz obierał sobie za pastwę swojej subtelnej ironji.

I tak Justyn, między ludźmi, niejako — oficjalnie, mądry, interesujący, żartobliwy, opanowany, — w przyjaźni, prywatnie, okazuje się próżny, sentymentalny, nudny i nawet poprostu głupi.

Tadeusz Hiż.

Stare Miasto.

Kiedy mi rozgwar świata nadmiernie zazgrzyta,
a żądza samotności nagle we mnie wzrasta,
do wież i do zaułków mknę Starego Miasta,
gdzie mię pogwar stuleci swą wielkością wita.

Gomulicki z Or-otem (jak Danta Wirgili),
swoją pieśnią mię wiodą wśród prastarych murów,
A ja, wszedłszy w ich obręb, uczuвам w tej chwili,
iżem echo dosłyszał zaświatowych chórów.

Tarcz słoneczna za wieże zwolna się zanurza,
na Wiśle drżą jej ślady z różnobarwnych centek,
spać już idą kolejno mury i podmurza,
anieli zadzwonili w kościół Sakramentek.

Stałem u wylotu starego zaułka.
Przed wiekami tu byłem — nagłą mam świadomość.
Ta sama przeleciała nademną jaskółka,
gdy w karocy przejeżdżał ongiś Król-Jegomość.

Że jestem rojalista trochę i klerykał
(choć pęd republikański mną mocno dziś targa),
to może, iżem niegdys u Fary spotykał
królewicza, gdy wiódł go po kruzganku Skarga.

Tadeusz Hiż.

Legends o sobie. SERCE.

Pomnisz, w dzieciństwa dniach,
jak mocnom ci zabiło,
gdy raz ci się przysniło,
że cię nawiedzał strach?
(Tonąłeś cały w łzach).

A starszym gdys był już,
jakżem zamarło w tobie,
gdy w smutku i żalobie
jęknął twój Anioł Stróż!
(któż nam to wróci, któż?)

Jak długi życia szlak,
ja wciąż ci się trzepocę,
w dnie długie, długie noce,
by w klatce trwożny ptak.
(Tak — Tak; Tak — Tak; Tak — Tak...)

Gdy przyjdzie zaś twój czas,
zabije ci, jak młotem,
waletę swą — — a potem,
uderzę lekko raz.
(Nim śmierć rozłączy nas).

To będzie dla cię znak;
gdy spytasz zadziwiony:
czym jest już z tamtej strony ?
cichutko szepnę „tak“.



Alexander Kraushar.

Pałac pod Blachą.

(Kartki z dziejów Warszawy).

Przy zbiegu dawnego wału (*Podwala*) i dawnej ulicy *Podmiejskiej* (*Krakowskiego Przedmieścia*), istniał w połowie wieku XVI klasztor „*Panien Dewotek*”. Sąsiadował on z klasztorem Bernardynek (*Św. Klary*), ongi na rogu *Marszta* istniejącym, poniżej tegoż, tuż przy ogrodzie *Zamkowym*. Twierdzenie, jakoby dopiero w roku 1695 przeniosły się były *Dewotki* na stałe do Bernardynek, nie zgadza się z wersją *Jarzębskiego*, który w „*Gościńcu*”, albo „*Opisaniu Warszawy 1643 r.*” zaznacza, że już wówczas, gdy zakonne panienki modliły się na ganeczku w kościele *Św. Klary*, jednocześnie, poniżej nich: „*wdowy Dewotki, z Bogiem rozmowy miewały codzienne*”.

Kościół Bernardynek, założony w roku 1609, przetrwał prawie że do połowy ubiegłego stulecia. Pozostałe po nim resztki usunięto dopiero w czasie budowania *Zjazdu* w roku 1844, lecz klasztor *Dewotek*, już wcześniej znikł był z powierzchni *Warszawy*, prawdopodobnie zburzony za pierwszego najazdu *Karola Gustawa* na *Warszawę* i w czasie trzydniowej o nią walki, która, jak wiadomo z dziejów, najsrożej wrzała w okolicach *Zamku Królewskiego*, kościoła Bernardynów i Bernardynek.

Puste grunta tameczne otrzymał tytułem darowizny z dnia 21 Maja 1650 roku niejaki *Wawrzyniec Reffus* i na

nich wznosił kamienicę przy murze Zamku Królewskiego, od schodów do Wisły ciągnącym się z jednej strony, i przy ogrodzie Zamkowym — z drugiej. Potomek owego Reffusa, odźwierny, Kazimierz Reffus, ze swą małżonką, sprzedali ową kamienicę kanonikowi Krzysztofowi Montwidowi Białozorowi, po paru zaś następnych przejściach possessja ta dostała się w dniu 14 Grudnia 1720 r. Jerzemu Dominikowi Lubomirskiemu i małżonce jego, Magdalenie z Czekarzewic. W dniu 16 Listopada 1776 roku Jerzy Marcin Lubomirski sprzedał ów pałac (zamiast *dachówką* — *blachą* pokryty — od czego jego nazwa) Henrykowi Collignonowi, za 27 tysięcy dukatów. W tymże samym roku, za pośrednictwem koniuszego i plenipotenty swego, Jana Kickiego, nabył ów pałac król Stanisław August za taką samą cenę i przyłączył do Zamku.

Nie odznaczając się wśród rezydencji wielkopańskich warszawskich wybitną architektoniką, ukryty w rogu niepozornej uliczki, grał wszakże *Pałac pod Blachą* w dziejach towarzyskich Stolicy, w pewnej historycznej — i to najsmutniejszej — dobie porozbiorowej niezwykle wpływową rolę, od chwili, gdy młody książę Józef Poniatowski, uprzykrzywszy sobie czasowy pobyt we Wiedniu, dokąd po złożeniu w roku 1792 komendy nad wojskiem polskim był się przeniósł, powrócił w roku 1798 do Warszawy, wraz z siostrą, Teresą z Poniatowskich Tyszkiewiczową, referendarzową litewską, separatką i z panią hrabiną de Vauban, z domu hrabianką Barbantane, żoną emigranta francuskiego i w pałacu pomienionym otworzył salon dla arystokracji warszawskiej.‡

Epizod ów z życia księcia Józefa i z życia Warszawy, przypadający na okres istnienia Prus Południowych, dostatecznie jest znany i przypomnienia wyczerpującego nie wymaga.

Historycy obyczajowi: Skarbek, Falkowski, Leon Potocki i Wójcicki, wyczerpali w swych zarysach całkowity materiał źródłowy i tradycyjny, dla odtworzenia obrazu życia pokolenia pogrobowców Rzplitej, które w rozrywkach, zabawach, maskaradach, szlichtadach, rozjazdach po podmiejskich okolicach Mokotowa, Jabłonny i Bielani, szukało ukojenia żalu po utraconej udzielnosci kraju.

To, czego poważni dziejopisowie przyznać nie chcą, składając na księcia Józefa *odium* życia bezmyślnego w czasach pruskich, to instykt poety i powieściopisarza, J. I. Kraszewskiego, wypowiedzieć się starał w powieści: „*Pod Blachą*“, w której naganny tryb życia późniejszego bohatera narodowego, uważany jest za rodzaj *maskowania* się wobec czujnych i podejrzliwych najeźdźców pruskich.

Położenie księcia Józefa — twierdzi Kraszewski — zmuszało go do odwrócenia uwagi od siebie, do wystawienia się światu jak najpłochszym, jak najlekkomyślniejszym człowiekiem, niemającym w życiu innego celu nad zabawę, rozrywkę i salonowe intrygi. Pani de Vauban do odegrania tej roli, do zasłonięcia go, była mu potrzebna. Poważniejszy, wiodąc życie ustronne, pracowite, książę byłby się prusakom stał podejrzany, mógłby się obawiać wygnania, lub niewygodnego dla siebie nadzoru. Życie, jakie prowadził umyślnie ostentacyjnie, uspakajało i kazało się w nim nie lękać już zniewieściałego człowieka. Chcąc się do spodziewanych lepszych zachować czasów, książę Józef *musiał* przybierać ten pozór i maskę, w jakiej go widzimy, aż do chwili przebudzenia.

Do spełnienia takiej właśnie roli pomogło księciu najwybrańsze towarzystwo dam polskich — nie zaletami umysłu i cnót niewieścich, bo te, wobec mało wykształconej francuzicy de Vauban — żadnego znaczenia miećby nie mogły — lecz zaletami piękności, talentami artystycz-

nemi, śpiewu i sztuki komedjackiej, zużytkowywanemi na deskach pałacu pod Blachą i teatru „de société” w pałacu Radziwiłłowskim.

W towarzystwie gromadzącem się w pałacu pod Blachą stanowiły przynęte: wdzięki pani Bronikowskiej, z domu Krasieńskiej, wychowanej w Paryżu i paryskim dowcipem celującej, świetnej tancerki i śpiewaczki. Obok niej celowały pięknnością i pomysłowością w urządzaniu zabaw towarzyskich, panie: Franciszkowa Sapieżyna, Ludwika Radziwiłłowa, Stanisławowa i Marcelowa Potockie, Adamowa i Anastazowa Walewskie, Matuszewiczowa, Ciecchocka i Kamieniecka. Otaczali ów rój pięknych niewiast, niemniej od nich do zabaw ochoczy, panowie: Rautenstrauch, Michał Grabowski, Frybes, książę emigrant de Fleury oraz bywalcy salonów: Potockich, Małachowskich, Lanckorońskich, Wielopolskich. Odbywano też przejażdżki i szlichtady zimową porą na Wiejską kawę; na wiosnę zaś towarzystwo z pod Blachy, odznaczone przyjacielskim mundurem, frakiem zielonym z czarnym aksamitnym kołnierzem, guzikami od fraka żółtymi, metalowymi, ze łbem końskim i napisem „Jabłonna“, kamizelką ponsową, szamerowaną złotem po huzarsku, udawało się, do Jabłonny, gdy jednocześnie towarzystwo polskie, w którym francuzczyzna w mowie i w obyczajach nie grasowała, przenosiło się na wieś: Stanisław Potocki z żoną do Wilanowa, Sołtykowie do Chlewisk, pani starościna Wielopolska do Obór, gdzie również wiosnę i lato spędzały czcigodne matrony: pani Lanckorońska, Kasztelanowa Połaniecka i pani Przebędowska, starościna solecka.

Za czasów pruskich pałac pod Blachą należał już prawem własności do księcia Józefa, jako spadek po stryju, królu Stanisławie Poniatowskim, zmarłym w Petersburgu dn. 12 lutego 1796 roku. Gdy prawa polskie,

wobec istnienia linii bocznej, męskiej, usuwały kobiety od dziedziczenia, panie: krakowska, (Branicka) i podolska (Zamojska) siostry zmarłego króla, musiały ustąpić spadku na rzecz brata królewskiego, Kazimierza Poniatowskiego, lecz gdy ten spadku zrzekł się — dziedzicem jego stał się książę Józef.

W epoce największego rozkwitu życia pałacowego pod Blachą, mianowicie po wkroczeniu wojsk napoleońskich do Warszawy w r. 1806, oprócz emigrantów francuskich: pani baronowej de Plon, państwa de Couder, księcia de Fleury, barona de Fonbrune, pana Marival, nadzorca pozostałej po królu galerji sztychów, zamieszkiwali w pałacu w porze zimowej: Józef Rautenstranch, pod szef. sztabu księcia, a następnie generał Filip Frybes, udający anglomana, i doktor Witaczek.

Plenipotentem jeneralnym księcia Józefa był pan Michałowski, kasjerem Glazer, rządcą Hofman, koniuszym Chusterbauer, łowczym Bałdysz, Kamerdynerami: Brodowski i Harel, francuz. Lokajów liberyjnych było sześciu, z tych—dwóch Polaków, czterech Francuzów, a prócz tego strzelec wiedeńczyk i murzyn pani Tyszkiewiczowej, Zamor. Francuz Farcoc był wielkim kuchmistrem dworu. Na stajni stało koni wierzchowych dwadzieścia, pojazdowych cug sześciokonny ogierów tureckich, którym, wraz z forysiem, powoził stary Czerepiński, wysłużony po królu Stanisławie stangret, angielski zaprzęg z dwoma dzokiejami. Poczta piątka, z pocztyljonem ubranym po wiedeńsku, w polowych butach, łosiowych spodniach, stosowanym kapeluszu, z blachą na ramieniu i trąbką przewieszoną przez plecy. Prócz tego, było jeszcze kilka czwórek mniej paradnych i szesnaście korsykańskich koników, które, bądź po parze, bądź po cztery, zaprzęgano do małych spacerowych karjolek. Wszystkich zaprzęgowych koni maść była gniada.

Po opuszczeniu Warszawy przez Prusaków, pani Ty-
szkiewiczowa dnia 6 Maja r. 1807, chcąc uczcić rocznicę
urodzin księcia Józefa, obmyśliła dlań niespodziankę, któ-
rej opis, według relacji naocznego świadka, tu przytaczam.

W sąsiadującym z pałacem pod Blachą Zamku Kró-
lewskim, ciągnęła się długa sala, zajmująca całe jedno
skrzydło i połączona korytarzem z aparlamentem książe-
cym. Tam się ongi mieściła biblioteka królewska, zawi-
adywana przez sławetnego Marka Revervila, któremu, przed
laty, jako charakterystycznej figurze, zmuszonej do poślu-
bienia przygodnej kochanki króla, swego czasu, obszerniej-
szą poświęciłem był monografią.

Okolo godziny 9-tej wieczorem kilkaset zaproszo-
nych osób zebrało się pod Blachą. Przeprowadziła ich
pani Tyszkiewiczowa do pomienionej sali, przeistoczonej
w angielski ogród. Tam się znaleźli wśród obozu, w któ-
rym oficerowie francuzcy przybrani byli w mundury polskie,
a polacy we francuskie. Jedni gotowali sobie przy ognisku
dzienną strawę, drudzy na ławach grali w kości. Uwijała
się między nimi ładna wiwandjerka, i z glinianego dzban-
ka nalewała żołnierzom do blaszanych kubków piwo, lub
wino. Niektórzy z nich leżeli śpiąc na ziemi, inni ga-
wędzili. Na przedzie ustawiona była broń w kozły, a w głębi
widać było namioty. Szyldwach, stojący na warcie, spo-
strzegłszy wchodzącego księcia Józefa zawołał: do bronil
W mgnieniu oka cały oddział stanął w szyku bojowym,
poczem odśpiewano pojedynczo, lub chórem, piosenki
okolicznościowe.

Za obozem ujrzano drabinkę obsadzoną przez amor-
ków w trykotach, ze skrzydełkami i wymierzonymi przeciw
księciu grotami. Podano mu łuk złoty, a Teresa Cichocka,
ofiarując strzałę, ostrzegła, że jest zaostrzona.

Po jednej stonie sali byli cyganie, po drugiej — Hisz-
panie. Cyganką była Alexandrowa Potocka (późniejsza
Wąsowiczowa); cyganem był Marceli Potocki, cyganiąt-
kami — Różia i Przemyś, dzieci Antoniego Potockiego
i dwuletni Gucio, synek Aleksandrowej Potockiej. Cy-
ganka, ujawszy solenizanta za rękę, wróżyła mu przyszłość,
tak jak ongi pewna cyganka we Wiedniu, która ostrzegła
księcia by unikał *sroki* (Elster).

Hiszpanie, do których grupy należały, księżna Wir-
temberska, autorka *Malwiny*, panna Cecylja Beydale, ulu-
biana towarzyszka dzieci Zamojskich i Dzierżanowska
(późniejsza Konstantowa Czartoryska) oraz *z panów*: Dzierż-
bicki, powitali księcia śpiewem ze słowami układu ba-
rona Serra, z akompaniamentem gitary, Pierwsza strofka
brzmiała:

Nous revenons d'Espagne,
N'en soyez pas surpris,
Un nouveau Charlemagne
Rapproche les pays.

Poczem, zwracając się do księcia:

De la chevalerie
Les Catalons épris
Aiment ta courtoisie,
Ta valeur et ton pays.

1807.



W przepysznym namiocie, obwieszonym szalami, na
pokrytych złotogłowie poduszkach siedział poważnie
basza turecki, w bogatym ubiorze wchodnim. Z długiego
cybucha palił sultański tytoń. Za nim stał młody murzyn
i trzymał drugi cybuch na odmianę. Przy wejściu do na-
miotu, kupiec z Alepu, handlujący niewalnikami, przedsta-
wiał baszy trzy odaliski na sprzedaż.

Gdy się towarzystwo zbliżyło na skinienie baszy,
służba jego złożona z murzynów, zaczęła gościom roz-

nosić na srebrnych tacach sorbety, a gdy książe Józef, na piękności niewieście łasy, przypatrywał się odaliskom, jedna z nich rzuciła mu chustkę, na co książe odpowiedział z wdzięcznym uśmiechem: „Co kraj, to obyczaj”, lecz w żadnym z nich takiego upominku się nie zwraca.” Później chustkę do ust przycisnął i schował.

Baszą był hr. Witt, Turczynkiem — Antoni Potocki, kupcem — Tadeusz Tyszkiewicz, Odaliskami: z Grabowskich Sobolewska, z Lubomirskich Walewska i Emilja z Parysów Marond.

Na dosyć obszernej przestrzeni, otoczonej różnobarwnymi kwiatami, panna Joanna Grudzińska, pasierbica Adama Brońca (późniejsza księżna Łowicka), Marjanna Górską (Potocka) i Tekla Górską (Nesselrode), czyli raczej trzy nimfy, zachwycaly obecnych prześlicznym tańcem, układu słynnego podówczas tancmistrza Volange'a.

W głębi sali wznosiła się świątynia z ołtarzem—miłości braterskiej poświęconym, na którym żarzył się ogień nieustannie, podtrzymywany przez trzydzieści sześć kapłanek Vesty, w ubiorach rzymskich, białych, ze złotem. Pośród kapłanek Vesty znajdowały się panie: Marcelowa, Antoniowa, Feliksowa i Stasiowa Potockie, Franciszko-wa Mikołajowa Sapieżyna, Anastazowa Walewska (późniejsza ulubienica Napoleona), Teresa Kicka, Ewa Sułkowska, Cichocka, Kamieniecka, Nakwaska i wiele innych.

Uroczystość zakończył świetny bal, trwający do białego dnia, przerwany jedynie sutą wieczerzą, na której spełniano liczne toasty na zdrowie solenizanta.

Szał weselości i upojenia trwał w salonach pałacu pod Blachą do chwili opuszczenia przez księcia Józefa Warszawy.

Podczas walk Napoleońskich, w okresie czasu od roku 1806 do 1813 włącznie, umysły ludności warszaw-

skiej wszystkich warstw towarzyskich ważniejszymi nad przelotne rozrywki zajęte były sprawami.

O zaszczytnej roli księcia Józefa jako ministra wojny w czasach księstwa warszawskiego, historia wspomina na najpiękniejszych swych kartach.

Na schyłku owego okresu, w dziejach pałacu pod Blachą również zaszła zmiana. Wywołał ją testament księcia Józefa z dnia 28 Marca 1812 roku, z przeznaczeniem wszelkich realności, jakiby pozostały w dniu zgonu testatora, na rzecz siostry, Teresy z Poniatowskich Tyszkiewiczowej.

Tekst owego dokumentu przechowuje się w księdze hipotecznej Nr 564 A. w Warszawie.

Po upływie dni czterech za ledwie od sporządzenia w dniu 16 Listopada 1823 r. aktu tragicznego zgonu księcia Józefa w nurtach Elstery, sporządzonego przez burmistrza Karola Siegmanna w Lipsku, pani Teresa Tyszkiewiczowa, spadkobierczyni bohatera, zeznała w Paryżu na rzecz Aleksandra Linowskiego akt plenipotencji, z upoważnieniem go do sprzedaży pałacu pod Blachą. Czekala jednak przez lat siedm, zanim namiestnik, książe Zajączek, z rozkazu cara Aleksandra I, dał polecenie Prokuratorji Generalnej Królestwa do nabycia owego pałacu na własność cesarską osobistą, za sumę 540 tysięcy ówczesnych złotych. Razem z pałacem przeszły do nabywcy i place dziedziczne przy ulicach: Bocznej, Garbarskiej i Źródłowej, w liczbie trzynastu, oraz plac jeden emfiteutyczny przy ulicy Pustej.

Wyłączono z pod sprzedaży jedynie portret mozaikowy księcia prymasa Poniatowskiego, który dla ciężkości swej, w murze był osadzony.

Dzieje pałacu pod Blachą w czasach władztwa moskiewskiego w Królestwie, interesu historycznego nie przedstawiają.

Traktat Ryski, z Sowiecami zawarty, przelał, między innymi gmachami skarbowymi, własność pałacu pod Blachą na rzecz Rzeczypospolitej Polskiej.

Józef Jankowski.

Na sprowadzenie zwłok
Henryka Sienkiewicza.

Bijcie, działa! grajcie, surmy! dzwońcie wszystkie dzwony
Duchy Polski, orszak górny twórcie uskrzydłony!
Oto jedzie, oto jedzie zwłok do polskiej ziemi
Tego, który ją ukochał tchnieniami wszystkimi!

Ani z roli, ani z soli, lecz z tego, co boli,
Dużo-ś dla niej się utrudził za twej ziemskiej doli, —
Teraz wracasz już do wolnej, cichy, godny, sławny,
Syn jej wielki, syn jej drogi, syn nie marnotrawny.

Czemu jednak w korowodzie u tej górnej strony
Duch twój troską jeszcze jakąś ziemską zasepiony?
Skąd tak czujnie ustalone oczy twe sokole,
Skróń świetlista natężona, i fałda na czole?

Duch odpowiada:

Jakżeż nie mam, chociaż w duchów szczytnym korowo-
[dzie,
Liców troską nie ochmurzać, gdy mój kraj w niezgodzie?
Jakżeż nie mam drzeć o przyszłość, gdy wróg wkoło czyha,
Gdy mój naród w rozerwaniu, — rdza się wgrzyza zcicha?

O niech pogrzeb ten, jak ducha złotolita wstęga,
Wszystkie serca w jednej mocnej miłości posprzęga,
Niech je wiedzie ku przeznaczeń promienistej chwale,
Niech wykuwa przyszłość swoją w granitowej skale:

O, niech stałą duch się stęga w obowiązku zbroi,
Niech u sumień zawsze czujnych Bóg na straży stoi:
Wtedy — wtedy, z Polski losem związany wyrocznie,
I mój duch już, ukojony, szczęśliwy odpocznie

Gustaw Olechowski.

W roli medjatora małżeństw.

W r. 1919 Śląsk Cieszyński nie należał do Polski. Nie należał również do Czech. Był zneutralizowany, pod panowaniem komisji międzynarodowej. Stan ten wymagał, by w Cieszynie był konsul, zarówno polski, jak czeski. Pierwszym, — no i ostatnim w historii — konsulem miał tam zaszczyt być niżej podpisany.

Wśród naszych górali w Beskidach jest wielu „amerykanów“. Zaraz po ukończeniu wojny licznie wracali oni na ojcowiznę, ile że przez cały szereg lat szalu morderczego powrót ten był dla nich niemożliwy.

Wchodzi raz do biura mego tak góral z góralką.

— Dobry dzień, panu konsulatowi.

— A co powiecie moi drodzy?

— Przyjechali my na poradę do pana konsulata?

— O cóż chodzi?

Góralka „szumne miała szatki“ — mówiąc ich gwarą, była wybitnie ładna, chowała się nieco za męża, jakby zażenowana.

Góral zatracał angielszczyznę.

— I say, kilka roków nie byłem w domu.

— Mogłeś być pisać — wtrąciła żona z wymówką w ślicznych siwych oczach i wyjrzała z za męża.

— Mogłem pisać, ale bez te wojnę tak wszystko.

— Z cornom kobitom żył, panie konsulacie.

— Isto *), ali cicho bądź. Więc nie było mnie pięć roków. Przyjechałem jak ten dobry mąż, z pieniędzmi, z dobrom wolom, a tu patrzę, u mojej baby troje dzieci. Trza powiedzieć ładne dzieci, miłe, bo do żony podobne. Ale mnie pięć roków nie było. Jest to dobre? Niech pan konsulata powie.

— Dobrze — nie można powiedzieć — zawyrokowałem.

— Widzisz, babo, sam pan konsulata mówi.

— Bo ja myślałam, żeś zginął.

— Czy żona zamąż wyszła? — indaguje, przerażony zbrodnią biandriji.

— Hale, wyszła tam. Nie wyszła tylko se wzięła jeńca wojennego do roboty.

A bo rozdawali jeńców. A kto miał robić w polu? — broniła się góralka.

— Robić to on robił. Gospodarstwo je w porządku. Ale dzieci. I to troje. Ale ładne. Do żony podobne.

— A gdzież go miałam trzymać. W chliwku? Chłop był porządny, napracował się cały dzień. Za mnie i za ciebie. To i nie dziwota. Sam pan konsulata tak samo by zrobił.

Powaga moja narażona była na niebywałe próby. Nigdy w życiu nie byłem zmuszony uczynić większego wysiłku dla opanowania mięśni twarzy.

— Co ja mam zrobić panie konsulacie?

— A co wam serce dyktuje?

Nie był przygotowany na takie pytanie.

— Chcecie się rozwieść? — pytam.

— Kiedy mi żal kobiety. Sam pan konsulata widzi że ładna.

*) Istotnie.

— Mielicie swoje dzieci?

— Nie.

— A żona woli jeńca czy męża?

— Dawno już nie jest, — proszę pana konsulata — pośpiesznie przerwała góralka. — A som gadałeś, żeś miał cornom kubitę.

— Ale dzieci nie miałem.

— Bo byłyby małe corne, nie dzieci.

— Isto.

— No więc? pytam.

— Jak pan konsulata tak radzi... — mówi chłop.

— A widzisz głupi — konkluduje żona.

— No to dziękuję panu konsulatowi. Ale chciałem babę sprać na przywitanie, tylko że dzieci w płacz, bardzo miłe dzieci.

Góralka patrzyła na mnie wdzięcznym okiem, a góralka wyjmował coś z kieszeni.

Kładzie mi na biurko trzy dolary.

— A to co ma być?

— Za poradę.

Miałem do niego krótką przemowę, że jestem urzędnikiem Państwa Polskiego, biorę pensję od rządu po to, bym się opiekował obywatelami polskimi po za granicami kraju i że w Polsce niema zwyczaju, by interesanci płacili urzędnikom.

— A u nas w Ameryce się płaci.

— A u nas nie.

— E, panie konsulacie, to nie rychtyg. Jak rada darmo, to rada dobra nie jest.

Góralka była przerażona, zrozumiałem, że obawia się o rezultat całej konferencji. W jej przekonaniu los jej wisiał na włosku.

Na biurku miałem rejestr, gdzie wpisywałem datki na Czerwony Krzyż, stosownie do instrukcji.

— Możecie ofiarować te pieniądze na Polski Czerwony Krzyż.

— No, niech będzie. To wszystko jedno. Dziękujemy panu konsulatowi.

— Niech Pombocek *) da zdrowie—dorzuciła góralka. I poszli zgodnie a przykładnie.

*) Pan Bóg.

Henryk Gruber.

Powrót.

Kopyta tłuką po pustym bruku, kościołek, wieś, ogrody,
[zórów uciekają, spływają w przestrzeni...
Pod kół łoskotem dwoni piosenka, daleko dzwoni muzyka...
Przy gwiazdnej tęczy dźwięczą obręcze — skrzypi,
klekocze bryka,
Jakaś godzina noc wypomina, a potem światło małe błę-
[ska z otwartej, szerokiej sieni..

Stołeczny zajazd, lampka naftowa—przy drabkach w dłu-
[gim, ciemnym kącie koniki chrupią siano...
Cześć kawalerze! Powitać panią... zaspány głos gospodarza.
Schody i świeczka, obrus zielony, prowianty i sakwojaże
I noc bezsenna, noc bolesna, zmęczone oczy patrzą w rano...

Klasa... koledzy... pacierz... na łące już pewno siano kładą;
Na mętnych szybach skaczą muchy, nie straszny im głos
profesora...

(Mamusia stancji pewno szuka) już wraca dziś
z wieczora...

Łzy? taki duży, duży chłopak?... Przez las do dworu
kucyki traba jadą...

Andrzej Boleski.

Salvete, flores martyrum...

Z Hymnów Kościelnych
(przekład z łaciny)

Witajcie, męczenników kwiaty,
Którym zaledwie błysło słońce,
Gdy ich wróg Chrysta zmiotł ze świata,
Jak burza pąki róż wschodzące.

Trzódka dziecięca, a już oto
Pierwsza ofiara w imię Pana,
Dziś, palm wieńcami rozigrana,
Do stóp ołtarza lgniesz z prostotą.

Jezu, niech tobie będzie chwała,
Coś zrodził się z Dziewicy czystej,
Z Ojcem i życia - dawcą Duchem —
Przez wszystkich dni bieg wiekuisty.

Stefan Kiedrzyński.

Wspomnienie.

Pamiętam, było to jeszcze przed wojną, w tym czasie, kiedy marzenia o polskim państwie, równały się fantazjom Wellsa.

Pewnego razu jeden z moich przyjaciół, mający krewnych w Poznaniu, zaproponował mi wspólną przejazdkę do stolicy Wielkopolski. Z przyjemnością przyjąłem jego propozycję — i w kilka dni później znaleźliśmy się w Poznaniu, na czarnej kawie, w przemyłym domu państwa X.

Cała rodzina moich nowych znajomych składała się z trzech osób. Pana domu—jego żony i ich córki, ładnej dwudziestoletniej panny, która bezwątpienia była owym magnesem, który przyciągnął tu mego przyjaciela z Warszawy. Szczerze mu wieszowałem wyboru, gdyż zarówno panna Jadwiga, jak i jej rodzina, przedstawiali typy szlachetne, trochę może zbyt archaizowane życiem prowincji, nie mniej jednak pełne jakiegoś ciepłego uroku, mijającej już w wielkim mieście starej polszczyzny! Bardzo więc polubiłem ten dom i przez kilka dni mego pobytu w Poznaniu byłem tu wraz z moim przyjacielem codziennym gościem, a raczej niemal domownikiem, gdyż zapraszani z serdecznością, od której nie było rekursu — przesiadywaliśmy tu całymi dniami. Pamiętam, że najmilsze dla nas były chwile poobiedniej pogawędki. Pan domu, jako że lata, które przeżył, dalekie już były od

włosny życia, po wypaleniu dziesięciofenigowego cygara udawał się na poobiednią drzemkę, my zaś we czworo — zasiadaliśmy w miłym saloniku, prowadząc rozmowę, do której nigdy nie brakowało interesujących tematów. Mówiliśmy więc trochę o sztuce i literaturze, znacznie więcej o muzyce, dla której panna Jadwiga miała kult niewypowiedziany, najczęściej jednak — o Polsce! Polska wtedy była abstrakcją, istniała w czwartym wymiarze i mówiło się o niej jak o „kochanej zmarłej”. — Był tylko naród, rozdzielony granicami, naród w więzieniu.

A jednak nikt nie śmiał wypowiedzieć głośno zwątpienia. Chociaż stróżami naszego narodu były trzy największe mocarstwa Europy — wiara była silniejsza od dwudziestupięciu milionów żołnierzy i kilkudziesięciu tysięcy armat!...

Wiara w sprawiedliwość Boga!

Na dwa dni przed naszym wyjazdem, miałem sposobność stwierdzić to raz jeszcze.

Po dopełnieniu aktu codziennej drzemki — pan domu zaprosił nas na cygaro do gabinetu. — Panna Jadwiga z matką wyszły na miasto. Czy miały wstąpić do modniarki, gdzie przygotowywano nową suknię dla jednej z nich, czy może z jakiego innego powodu, dosyć, że obie damy, podziękowawszy nam za towarzystwo, poszły same. Siedzieliśmy więc we trzech przy filiżance czarnej kawy i, zaciągając się rzeczywiście doskonałym dymem pruskich cygar — rozmawialiśmy o przyszłości. Pan domu nie był pesymistą — wierzył jak każdy z nas, że akt sprawiedliwości dziejowej musi się spełnić, ale miał umysł racjonalny, wychowany w pruskiej szkole — mówił więc liczbami — a liczby były zabójcze!... Nikt z nas nie przeczył drugiemu. Wiedzieliśmy wszyscy trzej, że potęga naszych wrogów doszła do zenitu — zapomnieliśmy jedynie o tem, że

niema nieskończoności w rzeczach ziemskich — gdyż nieskończoność jest istotą Boga. Nie mieliśmy jednak odwagi wróżyć kresu tych potęg i ustanawiać zwrotnych met wielkości, od których zaczyna się droga powrotna z wierzchołków ku — nizinom! — byliśmy jedynie w marzeniach naszych, jak owi pielgrzymi, — idący do Ziemi Świętej z modlitwą na ustach — nie znający jednak drogi, prowadzącej do świętego miejsca.

I właśnie tego dnia zdarzył się niezapomniany dla mnie wypadek. Może w godzinę po wyjściu pań rozległ się gwałtowny dzwonek, a w kilka chwil potem, usłyszeliśmy w saloniku głośny lament służącej i nerwowo podniecone głosy obu pań. Wybiegliśmy niezwłocznie do salonu — i nigdy, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie uczynił widok ślicznej panny Jadwigi i jej siwowłosej, czcigodnej matki, w poszarpanych sukniach i ze śladami krwi na twarzy — obie były najwyraźniej wstrętnie pobite. — Rozwichrzone, rozplątane włosy, poszarpane staniki, i brak kapeluszy — świadczyły o tem najwyraźniej. Młoda panna miała spuchnięty nos od uderzenia pięścią i ślady krwi na policzku, jej matka, ohydny siniak na czole od uderzenia kijem. Obie miały twarze mokre od łez, pokryte trupią błądząścią.

Jednocześnie prawie wszyscy trzej zapytaliśmy w najwyższym stopniu wzburzeni:

— Co się stało?

Panna Jadwiga krzyknęła tylko: — Niemcy? — i wybiegła do swego pokoju, — starsza zaś dama padła wyczerpana na fotel i głosem przerywanym od nerwowego dygotu, zaczęła nam opowiadać, jak było.

— Stałyśmy razem z Jadzią koło Bazaru, rozmawiając po polsku. Nie zauważyłyśmy, że nadchodzi grupa

Niemców. Kiedy zrównali się z nami, jeden z nich, słyszając jak mówię do Jadzi, zawołał: — „Stul pysk, ty stara polska świnio”. — Oburzona, powiedziałam coś o niemieckiej kulturze — wtedy ten sam Niemiec — zawałała się chwilę, a potem dokończyła z wysiłkiem: [uderzył mnie w twarz! Jadzia stanęła w mojej obronie, wówczas wszyscy — a było ich, zdaje się, pięciu — rzucili się na nas i... widzicie! Gdyby nie kilku Polaków, którzy wybiegli z bazaru — nie wiem, czy zdołałybyśmy się wyrwać z ich rąk!...

Zapłakała cicho, nie mogąc opanować nerwów. Słuchałem tego bez cienia przesady opowiedzianego faktu — i miałem wrażenie, że ktoś mi rękami wydziera serce. Spojrzałem na mego przyjaciela: był blady, jak trup. W oczach palił mu się płomień ponurej rozpaczki.

Nagle usłyszałem głos naszego gospodarza, który głośko drzącą ręką siwe włosy swej żony.

— Uspokój się, Basiu, mówił jakimś nieswoim, drżącym ze wzruszenia głosem. Ich rozbija własna pycha. To jest może właśnie największy dowód, że została im tylko siła zwierza. — Duch ludzki odleciał od nich!... — Hańbią się!... Przestań płakać Basiu. — Hańbią się nasi wrogowie. A hańba nie jest dobrym sprzymierzeńcem.

Dwa dni później wróciliśmy do Warszawy. Mój przyjaciel przez całą drogę nie wspominał o tym straszliwym wypadku. Widziałem jednak, że cierpiał podwójnie: jako Polak i jako mężczyzna, któremu znieważono bliską sercu kobietę. Dopiero po pewnym czasie — rzekł do mnie takim tonem, jak gdybyśmy przed chwilą zaledwie skończyli rozmowę na ten temat.

— Ten poczciwy stary miał rację, mówiąc, że oni mają tylko siłę zwierza... Ale nie zapominajmy o tem, że zwierzęta nieposkromione — pożerają ludzi!

J. M. Rytard.

Karnawał.

Niebo rozpięło horyzont liljowy,
Wtulamy nogi w puszysty pled,
Jesteś w powozie kolorem rasowym
Schowana w futro, jak mały kret.

Gdy się rozwiążą kokardy księżyca,
I północ zaśnie, jak śnieżysty trup,
Wtedy weźmiemy swój balowy ślub.
Nic się nie dowie o tem zła stolica.

Potem na morzu wśród szumu okrętów
Szyję oplączesz w japońskie korale,
I patrząc w gwiazdy przez światła djamentów
Układać będziesz swe następne bale.

Jan Rumbak.

Portret wiekuisty.

Czy tylko najsmutniejsi
radości gotują leki,
których najbardziej razi
bieg świata ten kaleki — ?

Pijałem gorzki smutek,
wyście mnie zemstą gnali,
bom nie chciał składać ofiar
moločom złota, stali — —

Stal dla mnie pięknie błyszczy
oprawna w rymy piękne,
przed złotym nimbem maga —
i ja z ochotą klękę —

Więc tak osamotniały
poszedłem do człowieka:
nawiedzić czyjaś duszę,
nie wiedząc, co mnie czeka.

Lecz portret wiekuisty
poznałem w jego twarzy
i nie wiem czemu dotąd
nie zna go nikt z malarzy...

Twarz cała jest w dobroci
tej naszej — spochmurniałej;
romantyzm tło jej złoci;
wzrok od snów oniemiały — — —

Kształt twarzy jako lira
rzeźbiona w żółtej kości,
przez nią dwa smętne nieba
w czuwania przejrzyści — —

Twarzy bladą świątynię
wichura włosów wieńczy
głowy święte naczynie
milczącą wieszczbą dźwięczy.

Sucho zawarte wargi —
pełne słów człowieczeństwa;
chude, przejrzyste dłonie
leczą serce z męczeństwa.

Dłonie się nam scalały,
połączyły się słowa:
rozzucił duch mogiły
Pan Nasz wstał od nowa,

jedność ludzką znów wskrzesił,
polski duch romantyczny...
Potem znowuśmy zmarli,
zbrakło ciszy mistycznej.

Jan Adolf Hertz.

Z posiedzeń trybunału

Źródło humanitaryzmu.

Rozprawy sądowe miały się ku końcowi. Zeznania wszystkich świadków ustaliły niezbicie, że oskarżony istotnie dokonał morderstwa.

Przewodniczący.

Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Oskarżony (podnosząc hardo głowę).

Przyznaję że zabiłem, lecz do żadnej winy się nie poczuwam.

Przewodniczący.

Oskarżony zdaje się zapominać o tem, że zabójstwo i wina są to pojęcia uzupełniające się wzajemnie — niemal identyczne.

Oskarżony.

O, nie, to są rzeczy różne. Sam fakt materialny niczego nie dowodzi — trzeba szukać pobudek, podłoża i ukrytych sprężyn czynu. Musiałem zabić. W domu moim było mi za ciasno; ze względu na dobrobyt, do którego doszedłem, stało się przebywanie w tak ciasnych ramach zupełną niemożliwością dla mnie. Koniecznością było wybudowanie oficyny na placu sąsiada, a że ten stał twardo na gruncie swoich egoistycznych interesów i broił uparcie przestarzałego prawa własności do tego głupiego placu, więc go zabiłem!

Przewodniczący.

Ależ to potworne! Przecież plac istotnie należał do nieboszczyka.

Oskarżony.

Ja u siebie wolnego placu pod budowę nie miałem.

Przewodniczący.

Ach, tak! A czy pan nie zastanowił się nad tem, że to jest pogwałcenie prawa.

Oskarżony (dumnie).

Byłem w zgodzie z własnym przyrodzonym mi prawem do indywidualnego rozwoju! (z pogardą) Paragrafy kodeksów, przygniatające swoim ciężarem szerokie rzesze ludzi przeciętnych, nie imponują mi zupełnie, albowiem otrzymałem wykształcenie filozoficzne: duch mój kształtował się pod wpływem Nietzscheańskiej myśli.

Przewodniczący (oburzony).

Dosyć! Dosyć! Prokurator ma głos.

Rzecznik oskarżenia czekał na tę chwilę, aby z mściwą pasją wyrzucić całe potoki żółcią przepojonych słów na głowę biednego oskarżonego.

Doprawdy, zdaje mi się, że niewarto streszczać jego mowy, wiadomo bowiem, że każdy Prokurator to indywidualium chemicznie wyprane z wszelkiej podnioslejszej myśli, starające się zawsze wszystkie zjawiska życia wtłoczyć w jakąś rameczkę istniejącego już prawa, indywidualium, które węszy wszędzie czyjaś winę, trzyma się tylko na poziomie ordynarnej rzeczywistości, podnosi fakty do godności absolutu, a natomiast przynigdy nawet na chwilę jedną nie oderwie się od ziemi, aby wznieść się ku szczytom, na których w stanie mgławicy spoczywają prawa przyszłości.

Dziwić się tedy nie można, iż zażądał kary śmierci oraz przysądzenia olbrzymiego odszkodowania dla rodziny zmarłego.

W sprawie tej obrońcą z urzędu był stary wyga palestrancki, mający tak olbrzymią skalę przekonań, że mógłby być w jednej i tej samej sprawie i prokuratorem i obrońcą — jednym słowem człowiek nieprzeciętny i niezwykle utalentowany. Adwokat ten przystępował do badania każdej powierzonej mu sprawy odrazu od strony najistotniejszej i najbardziej ważkiej — od strony honorarjum. Z tych więc względów członkowie Trybunału mieli absolutną nadzieję na rychłą... kolację, byli bowiem przekonani, że stary lis, broniąc z urzędu, ograniczy się do paru słów.

Jakież jednak było zdumienie Trybunału, a zwłaszcza obecnych na sali adwokatów, kiedy stary krętacz z płomieniami w oczach rozpoczął wielki popis retoryczny.

Mówił długo, zonglował najwznioślejszemi ideałami świata, docierał do źródeł łez i najskrytszych zakątków sumienia ludzkiego i myślami zgoła nowemi, przedzierał strop Pałacu Sprawiedliwości.

Zaczął od stwierdzenia, że w tego rodzaju sprawie może być tylko mowa albo o karze śmierci, albo o... zupełnem ulaskawieniu. I wzywał sędziów do wybieżenia w daleką przyszłość, do wyprzedzenia swego pokolenia, do zrozumienia, że sprawiedliwość, o ile niema być sprzeczna z duchem czasu, nie może pozostać aktem gwałtu, dokonanym na oskarżonym bez udziału jego woli w czterech ścianach pokoju sędziowskiego, że czas już, ażeby cały proces wyrokowania udostępniony był wszystkim, a zwłaszcza oskarżonemu, jako stronie najbardziej zainteresowanej.

Trzeba — wołał — żeby oskarżony, wychodząc z przybytku sprawiedliwości, był przekonany argumentami sędziów, był ich ojcowską perswazją zawstydzony i skruszony do tego stopnia, ażeby sam się zgodził na wyrok. Czas już, aby sędziowie, o ile są właściwymi ludźmi na właściwym miejscu, zerwali z paljatywami, odrzucili wszelkie kompromisy i dążyli do jedyne go ideału sprawiedliwości, którym jest dopuszczenie oskarżonego do głosu i narad nad mającym zapaść wyrokiem.

Pomimo zapału krasomówczego, nie zapomniał jednak o tem, że każdy szanujący się adwokat powinien się pochwalić znajomością historii Greków lub Rzymian i mowę swą zakończył lapidarnem zdaniem: Panowie Sędziowie! garbarze, tkacze i piekarze mogli zapomocą tajnego głosowania skazać na śmierć Sokratesa lecz gdyby oni mieli przekonać męża Ksantypy — on żyłby jeszcze do dzisiejszego dnia.

Przewodniczący miał przez chwilę wrażenie, że obrońca chce i jego i Trybunał wystrychnąć na dudków, bojąc się jednak, aby nie posądzono go o reakcyjny sposób myślenia, zarządził krótką przerwę i Trybunał udał się na naradę.

W tej chwili na ławach obrończych zawrzało jak w ulu; wszyscy skupili się koło starego obrońcy, winszując mu jego pięknego humanitarnego wystąpienia. Tylko dwaj jego koledzy, znający go doskonale jeszcze z czasów wspólnych akademickich prac w Seminarjum Prawa Międzynarodowego, szeptali między sobą:

— Co się temu staremu stało?

— Skądże ta jego nagła bezinteresowność?

— Widzicie kolego: on sam ma tyle przeróżnych grzeszków na sumieniu, że pomyślał sobie, iż na wszelki

wypadek lepiej byłoby, aby Sądy zaczęły stosować zalecaną przezeń metodę.

Trybunał wrócił i ogłosił, że w myśl wniosku pana obrońcy, narada odbędzie się jawnie z udziałem oskarżonego z głosem doradczym.

Oskarżony (zasiadłszy wygodnie w fotelu przy stole sędziowskim).

Proszę o głos.

Przewodniczący.

Słuchamy pana.

Oskarżony.

Więc jestem dopuszczony do obrad tylko z głosem doradczym?

Przewodniczący.

Tak.

Oskarżony.

Ale doradzać wolno mi panom wszystko?

Przewodniczący.

Wszystko.

Oskarżony.

A więc doradzam panom przedewszystkiem rewizję swego postanowienia, bo jeśli istotnie zasiadam z panami jako równy z równymi, głos mój musi być tak samo brany pod uwagę, jak i głos każdego z panów. Inaczej gralibyście tylko komedję, niegodną ludzi oświeconych i naigrawalibyście się nademną, jako nad ofiarą waszej przemocy. A obawy są, zgoła płonne: jestem sam, a panów jest kilku, więc możecie mnie każdej chwili zmajoryzować.

Sędziowie poszeptali między sobą przez krótką chwilę, poczem Przewodniczący oznajmił, że głos oskarżonego został równouprawniony.

Oskarżony.

Czy mogę prosić o głos w kwestji formalnej?

Przewodniczący (z wersalską uprzejmością).

Słuchamy Pana.

Oskarżony.

Ile potrzeba głosów żeby zawotować wyrok śmierci?

Przewodniczący.

Wymagana jest absolutna większość.

Oskarżony (skromniuteńko).

Czy nie uważacie panowie, że absolutna większość może być wystarczająca we wszystkich sprawach, lecz w wypadkach, kiedy ma zapasć wyrok śmierci, obowiązywać powinna zasada jednomyślności? Czy sumienia panów, które przed chwilą zdały tak świetny egzamin nieprzeciętności i postępu, nie mówią panom, że mam rację?

Sędziowie po krótkiej naradzie orzekli, iż odtąd w sprawach gardlanych wyrok musi zapasć jednomyślnie.

Oskarżony.

Dziękuję Panom, żeście nie zawiedli pokładanego w nich zaufania.

Przewodniczący.

I my liczymy, że i pan również nie zawiedzie naszego zaufania. Wiemy, że mamy przed sobą człowieka, który stale obcował z wielkimi duchami Boehmego, Schellinga, Fichteów, Kanta, Schopenhauera i Nietzchego.

Oskarżony (ocierając sobie lzy).

Powołaniem tych wielkich cieniów wzruszył mnie pan do głębi.

Przewodniczący.

Wierzmy, że kto karmił się ich myślą, wie doskonale, że życie doczesne to marność nad marnościami, że jedynem dążeniem człowieka myślącego winno być

unikanie plam na tarczy duchowej! (zwracając się do sędziów). Panowie! okoliczności sprawy są wszechstronnie zbadane, a więc każdy z nas może z czystym sumieniem oddać swój głos.

Jestem za karą śmierci — orzekł pierwszy z sędziów, a za jego przykładem poszli wszyscy sędziowie, nie wyłączając Przewodniczącego.

Przewodniczący (zwracając się do oskarżonego).

A pan?

Oskarżony.

Generalnie jestem także za karą śmierci, w tym jednak poszczególnym wypadku jestem jej stanowczo przeciwny.

Przewodniczący.

Ależ panie, niech się pan zastanowi!

Oskarżony.

Panie Prezesie, proszę mi wierzyć, że się doskonale nad tem zastanowiłem.

Przewodniczący.

Proszę odpowiadać na moje zapytania.

— Czy według praw nas obowiązujących za popełnienie zabójstwa należy się kara śmierci?

Oskarżony.

Tak.

Przewodniczący.

Czy pan popełnił zabójstwo?

Oskarżony.

Tak.

Przewodniczący.

Czy panu należy się kara śmierci?

Oskarżony,

Nie!

Przewodniczący.

Ależ panie, wstydź się pan! Człowiek tak głęboko wykształcony obala sylogizm? Przecież pan pojmuje chyba sam, że rozumowanie pańskie jest nielogiczne.

Oskarżony.

Ale jest zgodne z mojem poczuciem sprawiedliwości.

Po dłuższej naradzie z sędziami Przewodniczący wstaje i ogłasza:

Zważywszy, że wiązała nas uchwała, iż wyrok śmierci może zapaść tylko jednogłośnie; że oskarżony został dopuszczony do narad i głosowania na równych prawach; że był on stanowczo przeciwny karze śmierci, Sąd większością głosów postanawia: skazać oskarżonego na dożywotne więzienie i zapłacenie odszkodowania w wysokości, wymaganej przez rodzinę zamordowanego.

Oskarżony (nieco ironicznie).

Przyjmuję do wiadomości.

Przewodniczący.

Sądzę, że ten wyrok zgadza się już z pańskiem poczuciem sprawiedliwości.

Oskarżony.

Owszem jest sprawiedliwy, ale znów nielogiczny. *Przewodniczący* (zrywając się z miejsca z oburzeniem). Jakto, mój panie?

Oskarżony.

Spokojnie, Panie Prezesie, spokojnie. Proszę, niech pan siada i rozważy, że jeśli mam płacić odszkodowanie — muszę pracować, a siedząc w więzieniu byłbym narażony na przymusową bezczynność.

Przewodniczący.

Panowie koledzy! Zdaje się że oskarżony ma słuszność. Trzeba to powtórnie rozważyć.

Po chwili dyskusji, Sąd postanowił przywrócić wolność oskarżonemu, a zasądzić tylko akcję cywilną. Oskarżony (ściskając z koleżeńską serdecznością dłoń obrońcy).

Dzięki panu — wyszedłem cało z tej opresji.
Obrońca.

Ale niepotrzebnie wziął pan tak duże ciężary na siebie.

Oskarżony (z lekkim uśmiechem).

Niech się pan nie obawia: szyję do powieszenia ma każdy, ale odszkodowanie płaci się tylko wtedy, kiedy się ma pieniądze. Zresztą pójdziemy jeszcze do Trybunałów cywilnych, a mam nadzieję, że nim dojdziemy do ostatniej instancji — zarządzą na mnie składkę publiczną i zrobię jeszcze na tem doskonały interes.

Obrońca (szczerząc zęby z zadowolenia).

A wtedy?

Oskarżony.

A wtedy o pańskim honorarjum z pewnością nie zapomnę.

Obrońca (ściska dłoń oskarżonego).

All right!!!

Genewa, jesienią R. P. 1924.

KOMITET REDAKCYJNY:

BOLESŁAW GORCZYŃSKI
JAN ADOLF HERTZ
JAN LORENTOWICZ
WŁADYSŁAW REYMONT
STEFAN ŻEROMSKI



Dostrzeżone ważniejsze omyłki druku:

str. 35 wiersz 23 zamiast autorskie winno być *aktorskie*
„ 42 „ 47 „ piekielni „ „ *piękni*.

6 N